



**LEIGH MICHAELS**

---



*Kulturalny rozwój*

## *ROZDZIAŁ PIERWSZY*

- Mój Boże! A ja byłam pewna, że ze zdrowiem matki chrzestnej jest już lepiej - wykrzyknęła w słuchawkę telefonu poblądła ze zdenerwowania Synnamon Welles. - Przecież w zeszłym miesiącu, po pogrzebie mojego ojca, hrabina sama mi powiedziała, że wyniki po ostatniej operacji są zadowalające, a tu nagle...

- Pani hrabina nie chciała przysparzać pani dodatkowych zmartwień w tamtej smutnej chwili - odezwał się po drugiej stronie linii dość spokojny, choć niewątpliwie zatroskany i poważny męski głos. - Sama jednak знаła już wówczas diagnozę lekarzy i zdawała sobie sprawę, że jej ziemską wędrówka dobiega kresu.

- Mój Boże! - powtórzyła przygnębiona niespodziewanym nieszczęściem Synnamon. - Przylecę do Phoenix pierwszym samolotem, w którym będą jakiegokolwiek wolne miejsca.

- Tylko proszę nie mówić pani hrabinie, że dzwoniłem, bo nie upoważniła mnie do tego!

- Nie powiem, Hartford! Ale przylecę najszybciej, jak tylko mi się uda.

- Będziemy z żoną na państwa czekali, pani Welles - zapewnił Hartford. - Przygotujemy gościnny pokój dla pani i pana Wellesa...

- Nie sądzę, żeby mój mąż mógł akurat teraz wybrać się ze mną w podróż do Phoenix - stwierdziła chłodno i lakonicznie Synnamon.

W słuchawce zapanowała cisza, świadcząca niewątpliwie o konsternacji Hartforda. Dopiero po dłuższej chwili przerwało ją wypowiedziane tonem wyraźnego, choć starannie maskowanego zdziwienia pojedyncze słowo:

- Doprawdy?

- Niestety, ale tak się składa - mruknęła posepnie.

- To wielka szkoda, pani Welles - odezwał się zafrasowany Hartford. -

Gdybyście państwo przybyli do nas razem, we dwoje, pani hrabina miałaby wrażenie, że wybraliście się niejako... hm... w powtórny podróż poślubną. A tak, to z całą pewnością się domyśli powodu pani odwiedzin i pewnie będzie miała do mnie pretensję, że zadzwoniłem bez upoważnienia z jej strony...

- Może poproszę męża, żeby wygospodarował sobie trochę wolnego czasu i przylecimy do Phoenix oboje - bez przekonania rzuciła w słuchawkę Synnamon.

- Znakomicie, pani Welles! - wykrzyknął Hartford, tracąc na moment profesjonalną powściągliwość rutynowanego kamerdynera.

- Jednak nie wiem... - zaczęła Synnamon, nie kończąc zdania, umilkła i machnąwszy z rezygnacją wolną ręką, odłożyła słuchawkę. Opuściła głowę i w przygnębieniu zapatrzyła się w blat biurka.

Jak mogła tłumaczyć kamerdynerowi matki chrzestnej komplikacje swojej aktualnej sytuacji osobistej, skoro sama ich tak do końca nie rozumiała?

Niecały rok temu, gdy zaręczała się z Connerem Wellesem, przyjmując od niego pierścioneł z okazałym jednokaratowym brylantem, czuła się całkiem szczęśliwa, a w każdym razie - usatysfakcjonowana. Gdy cztery miesiące później brali ślub, wymieniając obrączki, miała nadzieję, że wszystko w ich małżeństwie ułoży się dobrze, a przynajmniej - zadowalająco. A potem...

Potem sprawy, ku jej własnemu zdziwieniu, przybrały zupełnie inny obrót!

Dlatego niemal bezpośrednio po pogrzebie ojca, który przed miesiącem zmarł nagle na atak serca, oświadczyła mężowi, że chciałyby zakończyć małżeństwo rozwodem, i to jeszcze przed wypadającą czternastego lutego, czyli w walentynki, pierwszą rocznicą ślubu. Kulturalnym rozwodem, oczywiście...

Zamyślona Synnamon westchnęła i sięgnęła po słuchawkę. Połączyła się przez interkom ze swoją sekretarką Annie i starając się o możliwie beznamiętny ton, zaczęła wydawać jej kolejne polecenia:

- Zarezerwuj dwa miejsca w najbliższym samolocie do Phoenix.

- Tak, pani Welles...

- Połącz się z moim mieszkaniem i powiedz pani Ogden, żeby mi spakowała bagaż na weekendowy wyjazd i przysłała do biura przez posłańca.

- Tak, pani Welles...

- A potem skontaktuj się z sekretarką mojego męża i poproś, żeby go jak najszybciej zapytała, czy może się ze mną spotkać.

- Tutaj? - spytała Annie.

- Nie, skądże! - wykrzyknęła Synnamon i straciwszy w jednej chwili pod wpływem emocji całą sztucznie wypracowaną powściągliwość i pewność siebie, wyjaśniła załamującym się ze zdenerwowania głosem: - Ja sama wstąpię do jego biura... Zaraz tam wstąpię, jeśli to będzie możliwe... Gdybyś miała jeszcze dla mnie cokolwiek do podpisu, to przygotuj mi wszystko, żebym mogła po drodze...

- Rozumiem, pani Welles.

- Dzięki!

Synnamon z ulgą odłożyła słuchawkę. Nie miała chęci dłużej rozmawiać i wyjaśniać sekretarce czegokolwiek, a już zwłaszcza zawiłości swoich układów z mężem. Dość dziwnych układów, trzeba przyznać.

Pobrali się z Connerem Wellesem osiem miesięcy temu. A miesiąc temu postanowili się rozejść, w kulturalny sposób, bez wzajemnych pretensji.

Dlatego zamiast wdawać się w niepotrzebne swary czy jałowe dyskusje, spotkali się w eleganckim lokalu na kolacji w czwórkę, w towarzystwie adwokatów, i zaraz po przekąskach, a jeszcze przed daniem głównym, uzgodnili wszystkie szczegóły rozwodu oraz podziału majątku. Później, przez resztę wieczoru, mogli już spokojnie rozmawiać o całkiem obojętnych sprawach: o polityce, o teatrze, o pogodzie...

Jak mogli, w takiej akurat chwili?

Tego, między innymi, Synnamon do końca nie rozumiała. Jednak konsekwentnie usiłowała sobie wmówić, że tak właśnie powinno być. Że bez względu na wszystko, należy w życiu unikać nadmiaru emocji, przestrzegać odpowiednich form towarzyskich i starać się ładnie wyglądać.

Teraz również, nim opuściła swój gabinet, by udać się z zapowiedzianą przez sekretarkę wizytą do męża, weszła na chwilę do niewielkiej toalety, gdzie poprawiła blond fryzurę i starannie wypracowany makijaż.

Cóż... Jako dziedziczka Sherwood Cosmetics, kosmetycznego imperium, które przed trzydziestu laty zaczął budować od podstaw i które rozbudowywał aż po kres życia jej ojciec, Silas Sherwood, nie mogła sobie przecież pozwolić na jakąkolwiek niestaranność czy niefrasobliwość w posługiwaniu się tuszem, pomadką i innymi piększającymi specyfikami. Jej wizerunek i wizerunek firmy były poniekąd jednością.

Zwłaszcza że sprawowała w Sherwood Cosmetics funkcję szefowej biura obsługi klientów!

Dokonawszy korekty makijażu, Synnamon Welles wyszła z gabinetu i poprzez rozbudowany hol biurowca, wyłożony grubym, puszystym dywanem, utrzymanym w tej samej tonacji błękitu, jaka dominowała w kolorystyce opakowań wszystkich produktów firmy, dotarła w okolice dyrektorskiego gabinetu.

Dyrektorem naczelnym w Sherwood Cosmetics był właśnie Conner Welles.

Nacisnęła klamkę i weszła do obszernego pokoju recepcyjnego, w którym królowała za biurkiem Carol, sekretarka jej męża. Ponieważ na audiencję u naczelnego szefa czekał już dyrektor do spraw handlowych, zamierzała przysiąść obok niego i zająć sobie kolejkę. Jednak Carol wskazała jej zachęcającym gestem drzwi gabinetu i odezwała się:

- Proszę od razu dalej, pani Welles.

Synnamon grzecznościowo zapukała i nie czekając już na kolejne zaproszenie, weszła do środka.

Gabinet był prawdziwie reprezentacyjny i w związku z tym przytłaczająco rozległy. Rozłożysta sofa, ustawiona w jednym z jego narożników, wydawała się z perspektywy drzwi wejściowych całkiem niewielka. Olbrzymie biurko, za którym siedział Conner, sprawiało wrażenie drobnego i kruchego mebelka. Zwłaszcza że jego tło stanowiła ogromna przeszklona ściana, za którą rozciągał się pejzaż stolicy stanu Kolorado, Denver oraz okolic miasta, zamknięty na linii horyzontu szarobłękitnym zarysem Gór Skalistych.

Conner Welles, przystojny, postawny brunet, całkiem nieźle zadomowiony w odziedziczonym po teściu gabinecie, siedział swobodnie za biurkiem i ze swadą rozmawiał przez telefon.

Wskazał żonie fotel i kontynuował fachową wymianę zdań na temat składu chemicznego któregoś z nowych produktów. Skomplikowane wzory przytaczał z pamięci, ponieważ z wykształcenia nie był menedżerem, tylko podobnie jak Silas Sherwood, doktorem nauk chemicznych.

Kiedy skończył, uniósł się zza biurka, podszedł bliżej do żony i zapytał:

- Czy coś się stało, Synnamon?

- Ja przepraszam, Conner, że zajmuję ci czas, kiedy dyrektor handlowy czeka tam u Carol... - odezwała się trochę niepewnie.

- Niech czeka! - przerwał jej zdecydowanym tonem.

- Powiedz, co się stało. Bo przecież musiało się coś stać

- dodał z odrobiną sarkazmu - skoro ty poprosiłaś mnie o spotkanie.

Synnamon w milczeniu wzruszyła ramionami. Istotnie, odkąd uzgodnili, że się rozwodzą, mieszkali osobno i prawie się nie spotykali. Ostatnio, na przykład, widzieli się przed tygodniem, w pracowniczym bufecie. I ona wcale nie nalegała, by widywali się częściej.

- No więc... - wyczekująco odezwał się Conner.

- Chodzi o moją matkę chrzestną - wyjaśniła Synnamon. - Jest bardzo chora, właściwie umierająca...

- Skąd wiesz?

- Hartford, jej kamerdyner, przed chwilą do mnie dzwonił. Powiedział, że lekarze nie są pewni, czy hrabina doczeka końca przyszłego tygodnia. Dlatego zdecydowałam się lecieć do Phoenix już w ten weekend i chciałam cię poprosić, żebyś poleciał ze mną.

- Naprawdę zależy ci na tym? - z niedowierzaniem spytał Conner.

- Naprawdę. Ze względu na hrabinę - pośpiesznie wyjaśniła Synnamon. - Ona bardzo cię lubi i pewnie byłoby jej przykro dowiedzieć się przed śmiercią, że nasze małżeństwo się rozpadło.

- Więc o rozwodzie nic nie mówimy?

Speszona Synnamon opuściła głowę i lekko się zarumieniła, nim odezwała się półgłosem:

- Gdybyś był taki uprzejmy...

- A jak wyjaśnimy hrabinie nasz nagły przyjazd do Phoenix?

- Po prostu powiemy, że trafił się nam jakimś cudem całkowicie wolny weekend i wyrwaliśmy się z zachmurzonego Kolorado do słonecznej Arizony...

- Jak para zakochanych? - wtrącił ironicznym tonem Conner.

Synnamon wzruszyła ramionami i zbyła tę uwagę milczeniem. W spojrzeniu, jakim zmierzyła męża, było tyle goryczy i smutku, że Conner natychmiast przestał ironizować i zapytał po prostu:

- Kiedy odlatuje samolot?

- W tej chwili jeszcze nie wiem, ale jak tylko Annie zarezerwuje bilety, to natychmiast poinformuje cię za pośrednictwem Carol...

- Zbyt określona droga, jak na wymianę informacji pomiędzy żoną a mężem - zauważył Conner.

- Cóż! - westchnęła Synnamon. - Żoną i mężem jesteśmy już tylko formalnie, do chwili przeprowadzenia rozwodu.

- Ale dla hrabiny do końca jej życia!

- Tak się niestety składa, skoro dni mojej matki chrzestnej są policzone...

- Podobnie jak dni naszego małżeństwa... Synnamon nie miała ochoty rozmawiać o sprawach, które uważała za ostatecznie przesądzone, czyli o małżeństwie i rozwodzie. Wstała z fotela i skierowała się ku wyjściu.

- Dziękuję ci, Conner! - rzuciła od drzwi.

- Nie ma za co.

- Jednak jest! Za to, że w istniejącej sytuacji zgadzasz się spędzić ze mną weekend.

- Tylko ze względu na hrabinę.

- To chyba zrozumiałe! - stwierdziła Synnamon i opuściła gabinet męża.

Rejsowy lot z Denver w stanie Kolorado do Phoenix w stanie Arizona dłużył się niemiłosiernie.

Synnamon sęczyła podane przez stewardesę białe wino i w zamyśleniu spoglądała w okno, starając się nie zwracać uwagi na Connera, który siedział w fotelu obok, popijał szkocką z wodą sodową, gryzł ziemne orzeszki i irytująco milczał, zamiast wysilić się na jakąś grzecznościową chociażby konwersację.

Może analizował w wyobraźni wzory chemiczne? A może próbował przewidzieć dalszy ciąg niespodziewanej podróży w towarzystwie żony? Synnamon nie chciała zastanawiać się nad tym. Świadomie ignorowała męża. Myślała natomiast o swojej matce chrzestnej, hrabinie.

Hrabina była prawdziwą dystygowaną damą, choć wcale nie wywodziła się z arystokratycznego rodu, tylko z licznej i niebogatej włoskiej rodziny, w której nikt nie dbał o formy i konwenanse, poza nią jedną. Dlatego też bracia i siostry przezywali ją w dzieciństwie hrabianką, a później, gdy już dorosła - hrabiną. Jakoś nie miała do nich pretensji o ten złośliwie nadany przydomek. Najwyraźniej po prostu przyzwyczaiła się do niego, czego najlepszym dowodem był fakt, że przyjęła go za pseudonim jako autorka książki na temat *savoir-vivre'u*.

Książka okazała się bestsellerem. Hrabina została dzięki niej, po pierwsze, niezwykle zamożną osobą, a po drugie - telewizyjnym autorytetem z dziedziny dobrego wychowania. I zaczęła z ogromnym powodzeniem udzielać milionom Amerykanów rad na temat tego, jak się elegancko zachować w najrozmaitszych życiowych sytuacjach.

W sytuacji, w jakiej sama się ostatnimi czasy znalazła, również starała się postąpić elegancko.

Nie chcąc dokładać zmartwień przygnębionej po śmierci ojca chrześnicy, nie przyznała się jej do katastrofalnego stanu swojego zdrowia. I nie wzywała Synnamon do siebie, w momencie kiedy lekarze uznali za policzone już nie tylko dni, ale nawet godziny jej życia.

Chciała odejść dyskretnie, jak przystało na damę. Nie miała ochoty pokazywać się nikomu - poza domową służbą - w chwili słabości, w stanie, w którym nie mogła już w dostatecznym stopniu zadbać o oprawę wizyty. Dlatego nie poprosiła o pożegnalne odwiedziny chrześnicy, którą, z pełną wzajemnością, uwielbiała od zawsze, ani jej męża, którego poznała wprawdzie niedawno, lecz polubiła od pierwszego wejrzenia.

Tak, moja matka chrzestna naprawdę lubi Connera, stwierdzała w myślach Synnamon, nudząc się w samolocie. I mój ojciec go lubił. I współpracownicy odnoszą się do niego z sympatią. Dlaczego więc ja odczuwam wobec niego...

Właściwie, co? - zaczęła się zastanawiać. Niechęć? A może raczej rezerwę czy skępowanie? Bo przecież on pod wieloma względami nawet mi się podoba, między innymi jako mężczyzna, przyznała w duchu, oblewając się przy okazji lekkim rumieńcem. A jednak jest mi na tyle daleki, że nie potrafię z nim żyć. I dlatego -



konstatowała z goryczą - przed umierającą matką chrzestną muszę krzyć, że sprawa naszego rozwodu jest już przesądzona, a podział majątku uzgodniony, że mieszkamy osobno i jeszcze przed pierwszą rocznicą ślubu oficjalnie unieważnimy nasz związek.

W zasadzie, to poza pracą w Sherwood Cosmetics, z której ja postaram się już wkrótce zrezygnować i poza tą komedią, jaką mamy w ten weekend do odegrania w Phoenix, już absolutnie nic nas z Connerem nie łączy, uzmysłowiła sobie w końcu. Nawet pierścionek zaręczynowy i obrączkę już dawno przecież mu oddałam i teraz...

- O Boże! - jęknęła.

- Czy stało się coś złego? - zapytał Conner.

- No, przecież wiesz... - burknęła Synnamon, wściekła na samą siebie za brak dostatecznego opanowania. - Moja matka chrzestna umiera.

- To wiem, ale z tego powodu do tej pory nie jęczałaś - zauważył Conner z bezlitosną konsekwencją doktora nauk chemicznych, czyli osobnika, który doskonale się orientuje, że bez wprowadzenia dodatkowego czynnika żaden wzór się nie zmieni i nie zajdzie żadna nowa reakcja.

- Człowieku, ty chyba nie masz serca! - zachnęła się Synnamon.

- A czego ty nie masz? - zapytał Conner ze stoickim spokojem.

- Ja nie mam rekwizytów, niezbędnych do odegrania przed umierającą matką chrzestną roli szczęśliwej małżonki - mruknęła Synnamon.

- Czyli obrączki i pierścionka?

- Tak.

- Nie przejmuj się, są tutaj - stwierdził Conner, sięgając do wewnętrznej kieszeni marynarki i wydobywając maleńki atlasowy woreczek. - O, proszę!

Wytrząsnął sobie na dłoń pierścionek i obrączkę i zaprezentował je naburmuszonej małżonce. Były to dzieła sztuki jubilerskiej najwyższej klasy i wartości. A dłoń, na której spoczywały, była pokaźną, silną dłonią prawdziwego mężczyzny.

- Czy mogę włożyć? - odezwała się dość niepewnie Synnamon.

- Oczywiście!

Z pewnym zakłopotaniem sięgnęła po precjoza. Ręki męża nie dotykała przecież już od dawna, więc konieczność uczynienia tego teraz mocno ją krępowała.

Ostrożnie, koniuszkami palców, zgarnęła obrączkę i pierścionek na swoją drobną dłoń.

A po chwili włożyła je na serdeczny palec prawej ręki.

- Teraz znowu jesteśmy mężem i żoną - zauważył pół żartem, pół serio Conner.

- W separacji i tuż przed rozwodem!

- To prawda, ale... hm...

- Ale co?

- W Phoenix nikt o tym nie wie. Chyba żeby... - Conner ponownie zawiesił głos.

- Żeby co? - zniecierpliwiła się Synnamon.

- Żeby hrabina coś wiedziała, na przykład poprzez jakieś swoje kontakty w Denver? Może chce nam wyperswadować rozstanie i w tym celu ściąga nas do siebie, tylko udając konającą?

- Wykluczone! Podobnie głupi żart absolutnie nie byłby w jej stylu.

- To nie byłby żart, tylko fortel.

- Rodem z tandetnej awanturkowej powieści - zauważyła z przekąsem Synnamon.

- Takie powieści są ulubioną lekturą wielu osób.

- Między innymi większości chemików, prawda?

Conner uśmiechnął się do poirytowanej żony z pobłażliwą wyrozumiałością.

- Nie zawsze ma się nastrój do studiowania arcytrudnych dzieł - powiedział. - Prostota też ma swój urok, tak w literaturze, jak i w życiu.

- O ile nie staje się prostactwem! - ucięła autorytatywnie dyskusję Synnamon. - W każdym razie - dodała po chwili - jestem ci wdzięczna, że pamiętałeś o obrączce i pierścionku.

- Cóż... Dobrze, że chociaż za to - stwierdził Conner, po czym wrócił do szkockiej z wodą, orzeszków ziemnych i rozmyślań.

Na lotnisku w Phoenix czekał na Wellesów szofer w uniformie i ogromny, olśniewająco biały cadillac z kontrastowo przyciemnionymi szybami.

- Czy nie moglibyśmy dojechać do domu hrabiny jak normalni ludzie? - mruknął Conner.

- To znaczy, jak? - syknęła Synnamon.

- Taksówką.
- Goście hrabiny raczej nie podjeżdżają pod jej dom taksówkami.
- Dlaczego?
- Bo w pewnych sferach i w pewnych dzielnicach nie korzysta się z miejskiej komunikacji - wyjaśniła zniecierpliwiona Synnamon.

Conner pokiwał enigmatycznie głową i nie powiedział już ani słowa. Podał szoferowi do ulokowania w bagażniku obydwu podróżne nesesery, swój i żony, a następnie szarmancko otworzył przed Synnamon tylne drzwi limuzyny, pomógł jej wsiąść, zamknął drzwi, obszedł cadillaca dookoła i wsiadł do niego z przeciwnej strony. Drzwi otworzył mu szofer, który po ich zatrzaśnięciu bez słowa zajął miejsce za kierownicą i uruchomił silnik.

Przemieszczając się majestatycznie dość ruchliwymi również w weekend arteriami Phoenix, stolicy stanu Arizona, limuzyna dotarła w końcu do ekskluzywnej peryferyjnej dzielnicy, w której domy były zdecydowanie bardziej luksusowe niż gdzie indziej, ogrody bardziej eleganckie, a trawniki - pomimo pustynnego w gruncie rzeczy położenia miasta - tak bujne i zielone, że wyglądały jak sztuczne.

W pewnym miejscu aleję, oznakowaną jako ulica bez wylotu, którą toczył się biały cadillac, przegrodziła solidna brama z ozdobnie kutego żelaza. W swej dalszej części aleja była już drogą prywatną, dostępną wyłącznie dla stałych mieszkańców willowego osiedla oraz dla ich gości, których personalia wnikliwie sprawdzał w momencie wjazdu pracownik ochrony.

Znalazłszy się po drugiej stronie bramy, limuzyna minęła kilka efektownych, otoczonych piękną zielenią rezydencji i zatrzymała się przed stylową willą z ozdobionym kolumnadą głównym wejściem.

Po chłodnym i szarym o tej porze roku Denver, Phoenix wręcz szokowało upałem i oślepiało słońcem. Kiedy Synnamon wysiadła z zaciemnionego, klimatyzowanego samochodu, zmrużyła oczy, z lubością wciągnęła do płuc ciepłe powietrze i przez moment poczuła się niemal jak na wakacjach.

Niestety, widok zapłakanej starszej niewiasty w czarnej sukni i mocno nakrochmalonym białym fartuchu, która wybiegła z domu na powitanie gości, natychmiast przypomniał jej, gdzie jest i w jakim celu przyjechała.

- Pani Welles! - wykrzyknęła kobieta w czerni i bieli.

- Pani Hartford! - odpowiedziała jej Synnamon. Padły sobie w ramiona.

Pani Hartford była gospodynią hrabiny, a jednocześnie żoną jej kamerdynera i znała Synnamon od dawna. W przeciwieństwie do powściągliwego małżonka z natury raczej wylewna - a równie jak on lojalna wobec chlebodawczyni i niezmiernie do niej przywiązana - nie próbowała nawet ukrywać rozpaczy.

- Czy rzeczywiście z matką chrzestną jest aż tak źle? - wykrztusiła przez łzy Synnamon.

- Niestety, to już chyba ostatnie godziny - odpowiedziała gospodyni, pochlipując.

Z głębi budynku wyłonił się kamerdyner, a z dziedzińca, odprawivszy z sutym napiwkim szofera limuzyny, nadszedł Conner.

- Jesteśmy bardzo wdzięczni, że zechcieliście państwo przyjechać - stwierdził z charakterystyczną dla siebie powściągliwą powagą Hartford.

- To my jesteśmy wdzięczni za zawiadomienie nas o złym stanie zdrowia pani hrabiny - odezwał się Conner.

- Stan jest tragiczny, proszę państwa - zauważył kamerdyner.

- Dlatego proszę nas od razu zaprowadzić do matki chrzestnej, Hartford - zdecydowała Synnamon, opanowując się ogromnym wysiłkiem woli i ocierając łzy podaną przez męża chusteczką.

Synnamon spędziła przy łóżku hrabiny resztę dnia i wieczór, aż do północy.

Chora, po przyjęciu zaordynowanych przez lekarza silnych środków przeciwbólowych i uspokajających, niemal przez cały czas spała, oddychając tak lekko, że chrześnica raz po raz z niepokojem zrywała się z krzesła, żeby sprawdzić, czy oddech całkowicie nie ustał.

Hrabina, która zawsze była osobą wyjątkowo delikatną i filigranową, teraz, w chorobie, wydawała się nazbyt krucha nie tylko do znoszenia trudów dalszego życia, lecz nawet do dźwigania lekkiego koca, którym była okryta. Twarz miała do tego stopnia bladą, że jej przymknięte podczas snu powieki wydawały się niemal przezroczyste.

Na krótko przed północą hrabina obudziła się, spojrzała na chrześnicę i szepnęła:

- Tak mi przykro, kochanie, że psuję ci weekend, na który udało ci się wybrać razem z tym twoim wspaniałym, zapracowanym mężem.

Synnamon westchnęła i zmusiła się do leciutkiego uśmiechu. Nie wiedząc jednak zupełnie, co powiedzieć, milczała. Kłopotliwą ciszę, jaka zapanowała przy łóżku chorej, przerwało dopiero wejście pani Hartford, ze szklanką wody i nową porcją lekarstw.

- Nie siedź już dłużej ze mną, kochanie - odezwała się półgłosem hrabina. - Idź na noc do męża - dodała, starając się mówić niefrasobliwym, a nawet figlarnym z lekką tonem. - Pozwól mi się spokojnie przespać.

- Tak, proszę już iść, pani Welles, pani hrabina po zażyciu leków będzie spokojnie spała - potwierdziła słowa starszej damy pani Hartford. - Ja tu przy niej tymczasem podyżuruję, a potem zmienię mnie mąż.

- Tylko proszę mnie od razu zawiadomić, gdybym była potrzebna matce chrzestnej - szepnęła Synnamon, podnosząc się z fotela.

- Oczywiście, pani Welles - przytaknęła gospodyni. - Jak będzie trzeba... zawiadomię, ale teraz naprawdę powinna się pani trochę odprężyć.

Synnamon wyszła z sypialni hrabiny i usytuowaną na wysokości pierwszego piętra wewnętrzną galeryjką skierowała się do tej części domu, w której znajdował się pokój gościnny.

Przechodząc, spojrzała z góry na ogromny salon. W jednym z narożników stał czarny, lśniący fortepian. Na jego przymkniętej pokrywie, w wazonie z kryształowego szkła o wyjątkowo misternym szlifie, pysznił się bukiet róż. Hrabina uwielbiała róże i zawsze miała je w swoim salonie. Nawet teraz, kiedy złożona chorobą nie była już w stanie do niego zejść na powitanie gości.

Uświadomiwszy sobie ten bolesny fakt, Synnamon odwróciła wzrok od bukietu, rozplakała się i pobiegła do gościnnego pokoju, obawiając się, że hrabina mogłaby usłyszeć jej łkanie.

W pokoju zastała Connera. W gimnastycznych spodenkach i podkoszulku leżał na nie rozesłanym jeszcze małżeńskim łóżku i czytał „Wall Street Journal”, ulubioną gazetę amerykańskich biznesmenów.

- Z hrabiną jest aż tak źle? - odezwał się na widok roztrzęsionej i zapłakanej małżonki.

- Ona już gaśnie - wykrztusiła Synnamon.

- Bardzo mi przykro.

- Mnie też.

Aby nie kontynuować zdawkowej rozmowy i nie prezentować się dłużej mężowi w opłakanym stanie, Synnamon zniknęła w przylegającej do gościnnego pokoju łazience.

Zmyła rozmazany nieco przez łzy makijaż, wzięła prysznic i przebrała się w nocną koszulkę, niestety dość frywolną, z koronkowymi wstawkami, bo taką akurat zapakowała jej w Denver na weekendowy wyjazd gosposia, pani Ogden.

Zawstydzona i skrepowana, wybiegła w niej z łazienki do pokoju, natychmiast wsunęła się pod koc i naciągnęła go na siebie na wszelki wypadek aż po podbródek.

- Mogłaś przynajmniej poczekać, aż zdejmę narzutę - mruknął Conner, odkładając gazetę na nocny stolik i wstając z łóżka.

Synnamon nic nie powiedziała. W milczeniu spoglądała na przystojnego, postawnego bruneta, który formalnie był jeszcze jej mężem, lecz już niebawem miał nim nie być, z powodu kulturalnego rozwodu, jaki zdecydowali się przeprowadzić z jej inicjatywy.

Conner Welles zgasił całkowicie górne światło, pozostawiając tylko niewielką nocną lampkę. Zdjął z małżeńskiego łóżka atłasową narzutę i położył ją na jednym z krzeseł. Następnie ściągnął podkoszulek, zgasił lampkę i zajął miejsce pod kocem, tuż obok żony.

Synnamon przesunęła się na sam skraj pościeli i odwróciła się tyłem. Leżąc w ciemności - tuż obok męża, ale w istocie jakże daleko od niego - uświadomiła sobie nagle, że już wkrótce zostanie zupełnie sama na świecie.

Mój ojciec zmarł miesiąc temu, moja matka chrzestna też wkrótce zejdzie z tego świata, z Connerem się rozwiode... I co wtedy? Wtedy będę miała wokół siebie wyłącznie obcych ludzi, pomyślała.

I przygnębiona, a nawet wręcz przerażona tą myślą, rozplakała się znowu, jeszcze gwałtowniej, bardziej spazmatycznie niż po wyjściu z sypialni hrabiny przed kilkunastoma minutami.

- Synnamon... - szepnął Conner i objął ją delikatnie ramieniem. - Synnamon, co ci jest?

- Nic - mruknęła, połykając łzy. - Chcę tylko zapomnieć, chcę się pozbyć napięcia, odprężyć. Pomóż mi!

- Ale jak? - zafrasował się Conner. - Co ja mam z tobą zrobić?

- To, co mąż robi z żoną we wspólnym łóżku! - zniecierpliwiła się jego niedomyślnością, pod wpływem gwałtownych emocji zupełnie zapominając o tym, że prawdziwa dama nigdy przecież nie narzuca się mężczyźnie, a już zwłaszcza mężowi, na dodatek niemal w przededniu rozwodu.

- Czy ty na pewno zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz? - spytał zaszokowany Conner.

- Na pewno - potwierdziła Synnamon, tak znękana bolesnym nerwowym napięciem, że gotowa zrobić wszystko, byleby tylko się uspokoić, bodaj na jakiś czas.

Nawet... spędzić miłosną noc z Connerem Wellesem!

Noc była długa i szalona. Synnamon, leżąc w ramionach Connera, wielokrotnie traciła zmysły, umiar i zdrowy rozsądek. A gdy je w końcu, już blisko świtu, odzyskała - zadała sobie w myślach zasadnicze pytanie:

I co też ja najlepszego zrobiłam?

## *ROZDZIAŁ DRUGI*

Nie udzieliwszy sobie żadnej sensownej odpowiedzi, Synnamon usnęła obok Connera. Spała jednak niedługo, gdyż bardzo wczesnym rankiem do drzwi gościnnego pokoju zastukał zdenerwowany Hartford, by zawiadomić, że hrabina żegna się z życiem.

Synnamon i Conner ubrali się w pośpiechu i pobiegli do pokoju chorej. Hrabina była nieprzytomna, oddychała z trudem. Wyraźnie męczyła się w ostatnich chwilach życia... Na szczęście jej cierpienia nie trwały długo. Nim nastał pełny dzień, wydała ostatnie tchnienie.

Odeszła tam - pomyślała Synnamon - gdzie jej ukochane róże nigdy nie więdną i pachną znacznie piękniej niż te, które rozkwitają na tym świecie...

Długo stała przy łóżku zmarłej, odmawiając w duchu modlitwę. Wyszła z pokoju ostatnia.

W salonie zastała Connera. Siedział zamyślony w fotelu i pił kawę z tak delikatnej, że niemal przezroczystej porcelanowej filiżanki.

- Życie ludzkie jest równie kruche, jak to - odezwał się filozoficznie, unosząc naczynko lekko w górę. - I równie piękne - dodał. - I równie cenne.

- Bezcenne! - stwierdziła z ciężkim, bolesnym westchnieniem Synnamon. - Pewnie dlatego, kiedy odchodzi z tego świata ktoś szczególnie nam bliski, mówimy o niepowetowanej stracie.

- Czasem tracimy coś niepotrzebnie z własnej woli - mruknął Conner.

- Masz może na myśli stratę czasu, związaną z przylotem do Phoenix?

- Nie, skądże!

- Bo jeśli się spieszysz, to możesz już dzwonić na lotnisko i rezerwować dla nas miejsca na samolot powrotny, choćby na dzisiaj.

- Na dzisiaj? - zdziwił się Conner.

- A co mamy tutaj robić, skoro hrabina nie żyje?

- Jak to, co? Trzeba się przecież zająć przygotowaniem do pogrzebu.

Synnamon uśmiechnęła się cierpko i pokręciła przecząco głową.



- Nie trzeba, wszystko w tej materii jest już od dawna przygotowane - wyjaśniła. - Hrabina stała na stanowisku, że każdy odpowiedzialny człowiek powinien sam zawnoczu zaplanować szczegóły własnego pochówku, nie obarczając innych tym kłopotliwym zadaniem. Już dawno wydała stosowne dyspozycje...

- I czego sobie zażyczyła?

- Kremacji, nie poprzedzonej żadną ceremonią - odpowiedziała Synnamon. - I rozsypania prochów w różnym ogrodzie na tyłach domu.

- Hrabina nie chciała rozstawać się ze swą posiadłością i przenosić na cmentarz?

- Nie. Dlatego ja, chociaż na mocy testamentu dziedzicę po niej ten dom i mogę z nim zrobić, co zechcę, nigdy nie zdecydowałabym się... nie odważyłabym się... go sprzedać ani nawet przebudować. Niech już zostanie taki, jaki jest, jako pamiątka po niezwykłej kobiecie, która co najmniej połowę Ameryki nauczyła dobrych manier, jako coś w rodzaju jej muzeum.

- A może raczej mauzoleum?

- Możesz to nazwać, jak chcesz - mruknęła z lekkim przekąsem Synnamon. - Jednak w mauzoleum raczej nie pija się kawy - zauważyła.

- Chcesz filiżankę? - zapytał Conner, przechodząc dyplomatycznie do porządku dziennego nad uszczypliwym stwierdzeniem żony.

- Poproszę - szepnęła i bezwładnie opadła na fotel, czując, że opuściły ją resztki sił, nadwątlonych przeżyciami ostatnich dwudziestu czterech godzin.

Conner sięgnął po dzbanek, napełnił aromatycznym napojem drugie filigranowe naczynko i podał je żonie na srebrnej tacy.

Sięgnęła po filiżankę i niemal w tej samej chwili, nim zdążył cofnąć się z tacą, zsunęła na nią z serdecznego palca prawej dłoni zaręczynowy pierścienek i ślubną obrączkę.

- Dziękuję - odezwała się półgłosem, nie podnosząc wzroku na męża.

- Konkretnie, za co? - spytał Conner prowokacyjnym z lekka tonem.

- Po pierwsze, za kawę - odpowiedziała Synnamon.

- Po drugie, za te rekwizyty, już w tej chwili niepotrzebne

- Wskazała delikatnym ruchem głowy na jubilerskie precjoza. - A po trzecie... -  
zawahała się.

- Tak?

- Po trzecie, za te miłe chwile zapomnienia, które zechciałeś mi zapewnić  
ostatniej nocy, nie zważając na naszą separację i rychły rozwód.

- Cała przyjemność po mojej stronie - stwierdził Conner, chowając pierścionek i  
obrączkę do wewnętrznej kieszeni marynarki. Po czym zmierzył Synnamon przenikli-  
wym spojrzeniem i dodał: - Jeśli naprawdę uważasz, że nie mamy tu, w Phoenix, już  
nic więcej do roboty, to idę zadzwonić na lotnisko.

W trochę ekstrawaganckiej i zdecydowanie snobistycznej obrotowej restauracji  
„Panorama” na najwyższym, dwudziestym piętrze najbardziej luksusowego w Denver  
hotelu „Kendrick”, Synnamon Welles czuła się wprost fatalnie.

Był środek grudnia. Ciężkie, śniegowe chmury kłębiły się nisko nad miastem i  
przeganiane z miejsca na miejsce przez silny, porywisty, hałaśliwie pogwizdujący  
wiatr, zdawały się napierać na przeszklone ściany lokalu, przyprawiając Synnamon  
swoim groźnym widokiem o irracjonalny lęk.

Miała ochotę uciec z „Panoramy”, ledwie się w niej znalazła, niestety, właśnie  
tu umówiła się na lunch ze swoją prawniczką, Moreą Landon i krępowała się  
zapropionować zmianę lokalu. Zwłaszcza że jej towarzyszka czuła się świetnie i była  
wręcz zachwycona wizualnymi i dźwiękowymi efektami, jakimi piekielna zimowa  
aura ubarwiała tego dnia gościom restauracji spożywanie piekielnie wyszukanych i  
piekielnie kosztownych dań.

Synnamon obawiała się, że niczego nie przełknie. Wirowanie restauracji,  
połączone ze świstem wiatru i kotłowaniną chmur, doprowadzało ją bowiem do stanu  
bardzo bliskiego morskiej chorobie.

- Napijemy się wina? - zapytała prawniczka.

- Dziękuję, nie - odmownie odpowiedziała Synnamon. - I tak już kręci mi się w  
głowie.

- Taka jesteś wrażliwa na ekscesy pogody? A może masz lęk wysokości?

- Po prostu jestem dzisiaj trochę zmęczona - wyjaśniła, nie mając chęci  
przyznawać się przed energiczną, pełną werwy prawniczką do meteoropatii ani do

żadnej innej słabości. - Napijmy się wody mineralnej, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Dla orzeźwienia po męczącym przedpołudniu?

- Właśnie.

- Niech będzie! A co zjemy?

Synnamon bez entuzjazmu zerknęła w kartę dań. Ponieważ kelner już czekał na przyjęcie zamówienia i w związku z tym była zmuszona na cokolwiek się zdecydować, rzuciła:

- Ja wezmę sałatkę z owoców morza.

- A ja stek po cygańsku z podwójnym czosnkiem - stwierdziła Morea. - Po południu mam konferencję z prawnikiem męża pewnej mojej klientki, która chciałaby się jak najszybciej rozwieść - dodała gwoli wyjaśnienia, kiedy kelner już odszedł. - Jak zacznę chuchać, mój oponent powinien w ekspresowym tempie przyjąć proponowane warunki, byleby tylko pozbyć się mnie i nie przedłużać spotkania.

- To takich forteli uczyli cię na studiach prawniczych? - spytała ze zdziwieniem Synnamon.

- Takich forteli nauczyło mnie życie, brutalne współczesne życie, w którym już nie ma miejsca na delikatność i wyszukane maniery w stylu tych, jakie propagowała wśród Amerykanów twoja świętej pamięci matka chrzestna - odpowiedziała Morea. - Bardzo mi przykro, że hrabina nie żyje - dodała. - To wielka strata.

- Dzięki za współczucie. Śmierć hrabiny to dla mnie istotnie wielka strata - przyznała ze smutkiem Synnamon.

- Poza nią nie miałam już ostatnio nikogo bliskiego na świecie... Bo przecież mąż się nie liczy!

- Wiadomo, że nie, skoro jesteście w separacji, a ja prawie wszystko już przygotowałam do rozprawy rozwodowej. Nawet jej datę ustaliłam w sądzie.

- Na jaki dzień? - zainteresowała się Synnamon.

- Na czternastego lutego.

- Rozwód w walentynki?

- A czemu nie?

- I na dodatek w pierwszą rocznicę ślubu!

- Wiem. Ale w sądzie ciągle jest tłok i jeśli ten termin ci absolutnie nie odpowiada, to trzeba by dosyć długo czekać.

- Lepiej nie!

- Ja też tak myślę - przytaknęła prawniczka. - Poza tym, biorąc rozwód w same walentynki, nie będziesz miała przynajmniej kłopotu z zapamiętaniem dnia, w którym odzyskałaś wolność - dodała żartobliwym tonem.

Synnamon uśmiechnęła się dość blado w odpowiedzi na dowcip adwokatkii.

Morea Landon, jako bystra z natury i z profesji obserwatorka ludzkich reakcji, zauważyła jej niepewność. Błyskawicznie poważniejąc, zapytała więc:

- Czyżbyś miała jeszcze jakieś wątpliwości w kwestii rozvodu? A może między tobą i twoim mężem coś się zmieniło od momentu ustalenia wstępnych warunków?

- Nie! - lekko podniesionym z emocji głosem zaprzeczyła Synnamon. - Rozwód jest postanowiony, majątek podzielony na pół...

- Właśnie! - dobitnie stwierdziła prawniczka. - Czy nadal uważasz, że taki podział majątku jest sprawiedliwy? Czy naprawdę nie chcesz podjąć walki o całość, a przynajmniej większą część kosmetycznego imperium, które zbudował twój ojciec?

Synnamon przecząco pokręciła głową.

- Conner ma takie same prawa do Sherwood Cosmetics, jak ja - stwierdziła. - Mój ojciec dopuścił go do spółki jako pełnoprawnego partnera.

- Ale przecież twój ojciec mógł postąpić... hm... po prostu nierozsądnie, robiąc z tego chemika taką ważną figurę w firmie, nie sądzisz?

Zerknęła z ukosa na prawniczkę, wyraźnie podekscytowaną perspektywą ewentualnej walki z Connerem Wellesem o majątek pozostawiony przez Silasa Sherwooda. Po czym opuściła głowę i wpatrując się w talerz z nie tkniętą dotąd sałatką z owoców morza, stwierdziła chłodnym tonem:

- Nie mnie oceniać mojego ojca, Moreo. A już zwłaszcza nie tobie.

- Przecież ja wcale go nie oceniam! Chciałam tylko udzielić ci dobrej rady, jako twój prawny doradca! - obruszyła się prawniczka.

- Wiem. Ale uznaj, z łaski swojej, że w stu procentach wypełniłaś swoje zadanie i nie próbuj zmieniać tego, co ja i Conner, jako strony procesu rozwodowego, ustaliliśmy już jakiś czas temu.

- Jak sobie życzysz - mruknęła naburmuszona z lekka Morea Landon, wzruszając ramionami. Po czym energicznie wzięła się za stek.

Synnamon poprzyglądała się jeszcze trochę swojej sałatce, ze względu na zawroty głowy i skurcze w żołądku nie tknęła jej jednak, a tylko małymi, ostrożnymi łykami wypila szklanekę wody.

Morea Landon skonsumowała tymczasem stek i stwierdziła:

- To było pyszne. I mam nadzieję, że będzie skuteczne. Zależy mi, bo ta klientka, o której ci wspomniałam, nie jest aż tak miękka, jak ty.

- Wcale nie jestem miękka, jak powiadasz - zaproponowała Synnamon. - Ja tylko mam swoje zasady, których się konsekwentnie trzymam.

- Jak twoja matka chrzestna?

- Właśnie!

- Ale ona była osobą z trochę innej, niż dzisiejsza, epoki! Ta epoka już bezpowrotnie odeszła. Tak samo zresztą, jak hrabina...

- Niestety - posępnym tonem przyświadczyła Synnamon.

- A tak przy okazji! - zagadnęła ją prawniczka. - Z kim spędzisz Boże Narodzenie, skoro twoja matka chrzestna nie żyje, a z mężem nie utrzymujesz kontaktów? Może wpadłabyś do mnie w pierwszy albo drugi dzień świąt? Będzie kilka sympatycznych osób...

- Dziękuję ci, Moreo, ale mam inne plany.

- Ach, rozumiem! - rzuciła adwokatka ze znaczącym uśmiechem, dochodząc najprawdopodobniej do wniosku, że jej klientka ma jakąś świąteczną randkę.

Niczego nie rozumiesz, przemądrzała istoto! - pomyślała Synnamon, zachowała jednak tę myśl dla siebie i bynajmniej nie próbowała niczego wyjaśniać. Akceptowała bowiem bez zastrzeżeń jedną z ulubionych maksym hrabiny, wedle której nigdy nie należy kłamać, ale nie ma też szczególnego powodu, by głosić całą prawdę o sobie każdemu i przy każdej okazji.

Dlatego nie przyznała się Morei Landon, że Boże Narodzenie zamierza spędzić samotnie, wysypiając się do woli, a potem oglądając stare filmy w telewizji.

- Skoro same święta masz już zajęte, to może wybrałabyś się ze mną i moją paczką na narty na poświęteczny tydzień i Nowy Rok? - nie dawała za wygraną Morea.

Synnamon przecząco pokręciła głową.

- Dzięki za propozycję, ale nie skorzystam - stwierdziła. - Zaraz po świętach muszę wrócić do pracy, skoro Conner nie zaangażował jeszcze nikogo na moje miejsce.

- A w ogóle kogoś szuka? - zainteresowała się Morea.

- Nie szuka osobiście, bo zlecił tę sprawę mnie - wyjaśniła Synnamon. - A ja rozmawiałam z mnóstwem osób, ale nikt dotąd nie wydał mi się odpowiedni na moje miejsce. Mam więc kłopot i właśnie dlatego umówiłam się z Connerem dzisiaj na trzecią na rozmowę...

- A może ty w ogóle nie chcesz rezygnować z tej pracy? - podejrzliwie zapytała prawniczka.

- Oczywiście, że chcę! - obruszyła się Synnamon. - Przepracowałam w Sherwood Cosmetics trzy lata i wystarczy. Jestem już zmęczona.

- Nawet ci się nie dziwię, skoro zajmujesz się załatwianiem reklamacji. Żadna atrakcja, ciągle mieć do czynienia z jakimiś narzekaniami.

- Bez przesady! Klienci wcale aż tak bardzo nie narzekają na nasze produkty, reklamacje zdarzają się sporadycznie.

- W takim razie pewnie się nudzisz!

- Cóż, w jakimś sensie chyba tak - przyznała Synnamon. - Dlatego myślę o zmianie firmy.

- Moim zdaniem - stwierdziła prawniczka - powinnaś zmienić nie firmę, tylko stanowisko.

- Jak to?

- Powinnaś zostać szefem Sherwood Cosmetics! - palnęła Morea. - Przecież pochodzisz z Sherwoodów, a po rozwodzie może nawet wrócisz do panińskiego nazwiska...

- Do kierowania dużą firmą nie jest potrzebne nazwisko, tylko kwalifikacje - zauważyła Synnamon.

- A jesteś pewna, że ich nie masz? Synnamon wzruszyła ramionami.

- Mój ojciec był pewien i to wystarczy - wyjaśniła lekko stłumionym ze zdenerwowania głosem. - Dlatego sprowadził do firmy doskonałego fachowca i operatywnego menedżera, jakim jest Conner. A mnie zapewnił...

- Podrzędne stanowisko i marną pensyjkę w biurze reklamacji, tak? - wtrąciła się Morea.

- Nie! - Synnamon zaprotestowała energicznie przeciwko takiej interpretacji decyzji personalnych, podjętych pod koniec życia przez Silasa Sherwooda.

- Więc co?

- Ojciec zapewnił mi stały udział w zyskach kwitnącego, sprawnie prowadzonego przedsiębiorstwa, którego jestem współwłaścicielką. Dzięki temu mogę korzystać z rynkowych sukcesów Sherwood Cosmetics, ale wcale nie muszę w tej firmie pracować. Nie muszę w ogóle nigdzie pracować, jeśli chcesz wiedzieć, mogę sobie swobodnie leniuchować do końca życia.

- Zanudzisz się!

- Będę hodowała poinsecje.

- Życzę powodzenia. Ale swoją drogą, radzę ci jeszcze się zastanowić nad możliwością przejęcia władzy w Sherwood Cosmetics i puszczenia Connera Wellesa z torbami po rozwodzie. Tak doskonały fachowiec i operatywny menedżer z pewnością szybko sobie znajdzie jakąś inną pracę. I inną żonę! - dodała uszczypliwie Morea Landon.

Synnamon ze złości mimowolnie zarumieniła się.

- Uważaj, żebym ja sobie przypadkiem nie znalazła jakiegoś innego prawnika - syknęła.

- Gdyby to miał być jakiś przystojny mężczyzna bez zobowiązań, to wcale nie będę miała o to do ciebie żalu - stwierdziła z uśmiechem Morea Landon, w dyplomatyczny sposób obracając wszystko w żart.

Minutę przed trzecią Synnamon zjawiła się w sekretariacie Connera.

- Proszę usiąść z łaski swojej i momencik zaczekać, pani Welles, bo szef dzisiaj potwornie zajęty - z przepaszającym uśmiechem rzuciła na jej widok Carol.

- Poczekam - mruknęła Synnamon i posłusznie usiadła w fotelu.

Minęło pełnych dwadzieścia minut, zanim z gabinetu wyszedł wyraźnie nachmurzony kierownik działu badawczo-rozwojowego firmy, Anderson i skinąwszy głową najpierw Synnamon, a potem Carol, zamaszystym krokiem opuścił sekretariat.

Conner Welles wyjrzał przez nie domknięte drzwi.

- Już jesteś, Synnamon? - zapytał retorycznie. - Wejdz, proszę! Carol, zrób nam kawy!

- Przyszłam dokładnie o umówionej godzinie - wyjaśniła Synnamon zasadniczym tonem, wkraczając do gabinetu i zajmując miejsce w fotelu.

- Domyślam się. Punktualność jest grzecznością nie tylko królów, jak mawiała hrabina, ale i twoją - pół żartem, pół serio stwierdził Conner. - A ja się niestety spóźniłem, bo rozmowa z Andersonem trwała trochę dłużej, niż przewidywałem.

- Jakies problemy w dziale badawczo-rozwojowym? - Można to tak nazwać. Anderson chce zwolnić kilka osób z końcem roku.

- Tego roku? - zdziwiła się Synnamon.

- Właśnie. Trochę to zaskakujące, prawda?

- Też tak myślę.

- Więc przynajmniej raz się zgadzamy...

- Jesteś przeciwny tym zwolnieniom? - zapytała Synnamon, zdecydowanie przechodząc w rozmowie z płaszczyzny prywatnej na służbową.

- I tak, i nie - odpowiedział Conner. - I właśnie na tym polega mój problem. Przez całe Boże Narodzenie będę musiał myśleć, czy zgodzić się z Andersonem, czy nie i kogo z jego listy ewentualnie bronić, gdybym doszedł do wniosku, że warto. Na szczęście nie zaplanowałem sobie żadnego świątecznego wyjazdu ani nawet wyjścia z domu, to znaczy z hotelu...

- Jeśli już miałbyś kogoś bronić, to pewnie tych starszych pracowników, prawda? - Zadane przez Synnamon pytanie znów miało skłonić Connera do rezygnacji z osobistych aluzji i skoncentrowania się na sprawach firmy.



- Pewnie tak. Ale niekoniecznie. Bo widzisz, starzy pracownicy, na przykład ci z dwudziestoletnim stażem, jak choćby Anderson, są doświadczeni, ale trochę skostniaли. A znowu młodzi miewają nowatorskie pomysły, ale nie bardzo wiedzą, jak je zrealizować.

- Więc jedni i drudzy powinni się uzupełniać w zespole, prawda?

- O tak! Powinni. Jak mąż i żona w idealnym małżeńskim stadle.

Ponieważ do gabinetu wkroczyła Carol z kawą i przerwała Connerowi jego filozoficzne rozważania na temat małżeństwa, Synnamon nie musiała tym razem na siłę wekslować rozmowy na służbowe tory.

Po wyjściu sekretarki przezornie nie dopuściła jednak męża do głosu, tylko odezwała się pierwsza.

- Ja też mam problem w moim dziale, jeśli chodzi o sprawy pracownicze - stwierdziła.

- Brakuje ci ludzi do pracy?

- Nie. Ludzi mam. Ale brakuje mi kogoś, kto mógłby nimi pokierować po moim odejściu z początkiem roku.

- To może sama zostałabyś na dotychczasowym stanowisku - zasugerował Conner.

- Dziękuję, nie!

- Więc poszukaj kandydatów przez ogłoszenia czy jakieś biura doradztwa personalnego.

- Do tej metody zdążyłam się już zniechęcić. Zgłaszają się tłumy, a koniec końców nie ma kogo wybrać. Wymyśliłam coś innego.

- Zdradź sekret, jeśli to możliwe.

- Oczywiście! Właśnie dlatego tutaj przyszłam i zajmuję ci czas.

- Zawsze mi miło cię widzieć...

- Przejdźmy do rzeczy, zgoda?

- Jestem do usług - stwierdził nieco dwuznacznie Conner Welles, zerkając z filuternym uśmiechem na rozłożystą sofę, ustawioną w zacisznym kącie gabinetu. Jednak spiorunowany przez Synnamon wzrokiem, zreflektował się i zapytał już

całkiem serio: - To kogo chciałabyś zatrudnić na stanowisku szefa biura obsługi klientów?

- Moją Annie.

- Tę twoją sekretarkę? - zdziwił się Conner.

- A czemu nie? - Synnamon przybrała na wszelki wypadek zaczepny ton i obronną postawę. - Ta dziewczyna doskonale przecież wie, na czym polega praca w dziale, jest wystarczająco operatywna, umie się odpowiednio zachować i wysławić...

- Ale taki błyskawiczny awans?! - wykrzyknął Conner.

- Cóż, ja tylko proponuję, ostateczna decyzja należy do ciebie. Wiem, że może nie być łatwa, ale przecież podejmowanie trudnych decyzji jest głównym zadaniem naczelnego dyrektora firmy. Od podawania kawy czy zmiatania podłogi są inni.

Wyraźnie wyniosłą miną i jawną ironią, z jaką wypowiedziała te słowa, Synnamon zdopingowała Connera do natychmiastowego działania.

Zerwał się z fotela, na którym siedział naprzeciwko niej po drugiej stronie klubowego stolika, jednym zamaszystym susem dopadł biurka i przez interkom połączył się z Carol.

- Poproś sekretarkę pani Welles, żeby natychmiast zgłosiła się tu do mojego gabinetu - zadysponował.

- Decydujesz się tak od razu? - trochę obłudnie zdziwiła się Synnamon.

- Skoro ty zdecydowałaś się na rozwód, zanim minął rok od dnia ślubu...

- Szybka decyzja to połowa sukcesu, jak zwykły mawiać mój ojciec! - palnęła Synnamon, zirytowana uporem, z jakim Conner powracał podczas służbowego spotkania do prywatnych spraw. - Dlatego za pośrednictwem mojej prawniczki ustaliłam już konkretny termin naszej rozprawy rozwodowej.

- Na kiedy?

- Na czternastego lutego.

- Przecież to walentynki! I na dodatek...

- Rocznicą naszego ślubu, wiem - weszła mężowi w słowo Synnamon. - Ale co z tego?

Nie zdążył nic odpowiedzieć na dość prowokacyjne pytanie żony, ponieważ w tym momencie rozległo się trochę nerwowe pukanie, za pierwszym razem zbyt ciche, a za to za drugim zdecydowanie za głośne.

- Proszę! - rzucił Conner.

Drzwi uchyliły się niezbyt szeroko i do gabinetu weszła młoda kobieta, wyraźnie speszona, by nie powiedzieć - przestraszona.

- Czy pan mnie wzywał, panie dyrektorze? - spytała z niejakim niedowierzaniem.

- Tak się złożyło, Annie - odpowiedział Conner z tajemniczym uśmiechem. - Usiądź.

- Dziękuję.

Młoda kobieta przycupnęła nieśmiało na skraju jednego z foteli, rozstawionych wokół stolika, przy którym siedzieli już Wellesowie.

- Napijesz się kawy? - zapytała Synnamon.

- Poproszę.

Dyrektor naczelny firmy wyjął z barku dodatkową filiżankę, a szefowa działu, odwracając typowy układ ról, nalała sekretarce aromatycznego napoju z pozostawionego przez Carol na stoliku dzbanka.

- Ze śmietanką? - spytała na dodatek, pesząc do reszty Annie.

- Dziękuję, nie - wykrztusiła w odpowiedzi, zarumieniona z emocji i zupełnie zdezorientowana tym, co rozgrywało się wokół niej.

Podnosząc filiżankę do ust, żeby przełknąć odrobinę kawy, Annie omal nie wypuściła jej z drżącej dłoni.

- Nie denerwuj się - rzucił Conner. - Nic się nie stało. Tylko pani Welles znalazła już kogoś, kto ją z początkiem roku zastąpi w biurze obsługi klientów.

- Tak? - odezwała się niepewnie dziewczyna, nie próbując nawet wyjaśnić dyrektorowi, że denerwuje się z zupełnie innych powodów niż wakat na jednym z kierowniczych stanowisk w zatrudniającej ją firmie.

- Nie pytasz nawet, kogo wytypowała pani Welles? - zdziwił się Conner.

- Tak, właśnie chciałam...

- Ciebie!

Gdyby w tym momencie Annie trzymała w dłoni filiżankę, upuściłaby ją z całą pewnością. A gdyby stała, niechybnie usiadłaby z wrażenia, a może nawet się przewróciła. Na szczęście jednak siedziała w fotelu, a filiżankę zdążyła tuż przed usłyszeniem sensacyjnej wiadomości odstawić na stolik, nie doszło więc do żadnej katastrofy.

Annie zacisnęła tylko dłonie na poręczach fotela i nie spoglądając w stronę milczącej Synnamon, zapytała:

- Dlaczego pani Welles wybrała akurat mnie, panie dyrektorze?

- Bo najprawdopodobniej się nadajesz.

- A jeśli sobie nie poradzę?

- Na początku czeka cię trzymiesięczny okres próbny, w czasie którego pani Welles zobowiązała się regularnie bywać w biurze i udzielać ci wszelkich niezbędnych wyjaśnień i wskazówek. Prawda?

Synnamon powtórnie spiorunowała męża wzrokiem, ale nie chcąc przy obcej osobie zarzucać mu kłamstwa i zgłaszać pretensji o postawienie jej przed faktem dokonanym, skinęła głową.

- Po trzech miesiącach - kontynuował ze stoickim spokojem Conner Welles, wytrzymawszy spojrzenie żony - spotkamy się tutaj znowu w trójkę przy kawie i zastanowimy się wspólnie, czy obejmujesz na stałe stanowisko szefowej biura obsługi klientów w Sherwood Cosmetics, czy... - Znacząco zawiesił głos.

- Rozumiem, panie dyrektorze - odezwała się Annie.

- Na posadę sekretarki już wtedy nie będę mogła wrócić, więc jeśli się nie sprawdzę na kierowniczym stanowisku, będę musiała zniknąć z firmy.

- Co postanawiasz w związku z tym?

- Zaryzykuję.

- Bravo! Szybka decyzja to już połowa sukcesu! - wykrzyknął Conner Welles, powtarzając ulubioną maksymę Silasa Sherwooda.

Był wyraźnie zadowolony. Trochę zapewne z tego, że obsadził wakujące stanowisko, a trochę z tego, że dzięki zastosowanemu z tupetem fortelowi zmusił żonę do pojawiania się w firmie przynajmniej w ciągu trzech pierwszych miesięcy nowego roku.

Nadeszło Boże Narodzenie.

Synnamon Welles zrobiła wszystko, żeby je spędzić w spokoju, samotności i bez zwykłego świątecznego zamieszania. Odrzuciła wszelkie zaproszenia. Wyłączyła telefon. Nawet choinki nie ubrała.

Jedynym świątecznym akcentem w jej mieszkaniu była okazała szklana bombka w serduszka, подарowana przez Annie z życzeniami, by w te święta zapanował w jej sercu spokój, a już w następane - koniecznie miłość.

Bombka wisiała na długiej, zaczepionej o żyrandol złotej nitce nad stołem, na którym cieszyły oko starannie zakomponowane na niewielkim półmisku świąteczne dania. Wyjątkowo wykwintne i całkowicie niekonwencjonalne, tak jak to sobie Synnamon wymyśliła.

Zamiast ryby - kawior! A zamiast tradycyjnego amerykańskiego indyka - francuski pasztet z gęsich wątróbek i przepiórcze jaja na twardo!

Wymyślne potrawy cieszyły oko Synnamon, ale niestety nie pobudzały jej apetytu. Nie mogła jeść, poza mocno przesuszonym tostem niczego nie przełknęła podczas samotnego obiadu w pierwszy dzień świąt.

Męczyły ją mdłości. Nie przez cały czas, okresowo. Jednak wracały za każdym razem, kiedy siadała do stołu. Wstawała więc i nie bardzo wiedząc, co się z nią dzieje, zaczynała nerwowo krążyć po pustym mieszkaniu.

Dość dużym. Zdecydowanie za dużym dla jednej osoby. A nawet dla dwojga, dla małżeństwa. Ale cóż...

Takie właśnie mieszkanie - ogromny, luksusowy apartament z pełnym wyposażeniem - kupił córce i jej mężowi w ślubnym prezencie Silas Sherwood. Kiedy mieszkali tu razem, spotykali się, prawdę mówiąc, niewiele częściej niż ostatnio, gdy byli już w separacji. Jakoś ginęli w wielopokojowym labiryncie.

A może raczej podświadomie kryli się przed sobą?

Wzajemna obecność w gruncie rzeczy ich krępowała. Byli dla siebie uprzejmi, ale dziwnie obcy. Jakby każde z nich żyło przez tych kilka pozornie wspólnych miesięcy w swoim osobnym świecie.

Światem Connera była chemia. O chemii potrafił rozprawiać godzinami, ale ponieważ Synnamon nie rozumiała jego fachowych monologów, najchętniej dyskutował z jej ojcem, a swoim szefem i protektorem.

Ilekcio Silas Sherwood odwiedzał córkę i zięcia, obydwaj panowie urządzali sobie coś w rodzaju specjalistycznej konferencji, a Synnamon po prostu śmiertelnie się nudziła. Tak było również w poprzednie Boże Narodzenie, dla nich dwojga pierwsze po zaręczynach i ostatnie przed ślubem, a dla Silasa, jak się potem okazało, ostatnie w życiu.

Synnamon, oczywiście przy wydatnej pomocy gosposi, pani Ogden, przygotowała je starannie w domu ojca, stosując się do wszelkich wymogów tradycji. Były wigilijne dania z ryb, był pieczony indyk z wymyślnym nadzieniem, była choinka i starannie dobrane prezenty. Dla panów, którzy tak się zapamiętali w dyskusji, że w ogóle nie zwrócili na nie uwagi. Dla Synnamon nie było upominków, tylko dwie ozdobne koperty. A w każdej z nich - czek. Dziwnym zbiegiem okoliczności, taki sam w jednej i drugiej.

Dziwnym? A może i nie?

Silas Sherwood i Conner Welles pod wieloma względami byli bardzo do siebie podobni. Tak bardzo, że w wielu sytuacjach wydawali się Synnamon zupełnie jednakowi. Te same doktoraty nauk chemicznych. Ta sama pracowitość. To samo praktyczne, a nawet wręcz prozaiczne podejście do życia. Ta sama prostota w zachowaniu, chwilami granicząca z prostactwem.

A Synnamon?

Synnamon, pod niewątpliwym wpływem matki chrzestnej, wielce sobie ceniła dobre maniery. Co nie przeszkadzało jej podziwiać ludzi, którzy w codziennym zachowaniu ujawniali oryginalność, a nawet ekscentryczność. Imponował jej artystyczny nieład, twórcza fantazja. Chemicznych zawiłości nie rozumiała, dyskusje o interesach ją nużyły.

Takie przynajmniej miała o sobie wyobrażenie, bowiem naprawdę nie była pewna, czego chciałaby w życiu zaznać. Rodzinnego szczęścia? Wielkiej, namiętnej miłości? Popularności i towarzyskich sukcesów na miarę tych, jakie były udziałem hrabiny?

Tak czy inaczej, u boku Connera Wellesa nie miała, wedle własnego mniemania, nadziei na osiągnięcie któregośkolwiek z tych trzech celów.

Życie rodzinne z wiecznie zapracowanym chemikiem i menedżerem ograniczało się do krótkich spotkań, nijakich, obojętnych w ciągu dnia, a gwałtownych i niepotrzebnie pośpiesznych w nocy.

W chwili zaręczyn nie było w ich związku namiętnej miłości. Nie wzniecił jej także ani ślub, ani poślubny miodowy miesiąc, ze względu na pilne zajęcia Connera skrócony do dwu weekendów i przedzielającego je tygodnia.

Spośród imprez towarzyskich młody małżonek najchętniej wybierał spotkania z własnym teściem, przeradzające się nieodmiennie w fachowe konferencje na tematy dyskutowane wcześniej w pracy.

Gdy Silas Sherwood nagle zmarł na serce i Conner Welles pozostał sam u steru Sherwood Cosmetics, zaczął pracować za dwóch.

Był tak zajęty i tak przejęty prowadzeniem kosmetycznego imperium, że kiedy żona zażądała od niego natychmiastowej separacji i rychłego rozwodu - nie protestował, o nic nie pytał, niczego nie próbował wyjaśniać, tylko po prostu spakował dwie walizki i wyprowadził się z domu do hotelu. Szybciutko, żeby nie tracić czasu i nie zostawiać Sherwood Cosmetics zbyt długo bez dozoru, jak to złośliwie tłumaczyła sobie Synnamon.

Im więcej Conner angażował się w sprawy firmy, tym bardziej ona się do nich zniechęcała. Dlatego w trakcie spotkania, podczas którego ustalali wraz ze swoimi prawnikami zasady podziału majątku, ujawniła zamiar porzucenia piastowanego od trzech lat kierowniczego stanowiska w Sherwood Cosmetics i wycofania się na pozycję cichego udziałowca.

W istocie nie wiedziała do tej pory, czym się zajmie, kiedy nie będzie już spędzać codziennie mniej więcej dziesięciu godzin w biurówcu firmy. W wirze wydarzeń ostatnich kilku tygodni nie miała kiedy spokojnie się nad tym zastanowić, a po śmierci hrabiny nie miała również z kim na ten temat porozmawiać.

Morea Landon, dobra prawniczka i z całą pewnością życzliwa przyjaciółka, zbyt się różniła od niej temperamentem, poglądami i stosunkiem do życia, by mogły dojść do jakichkolwiek wspólnych wniosków. Żywiołem Morei była bowiem

rywalizacja, walka, najlepiej bezpardonowa i najkrótszą drogą prowadząca do zwycięstwa. Natomiast Synnamon pragnęła w życiu przede wszystkim harmonii i spokoju.

Teraz, spędzając w pojedynkę, w pustym domu, święta Bożego Narodzenia, nawet go miała. A właściwie - miałyby go, gdyby irytujące niedomagania nie przeszkadzały jej podelektować się nim i nacieszyć.

Zawroty głowy, mdłości, chwile obezwładniającego znużenia, przeplatające się w dość chaotyczny sposób z momentami rozdrażnienia, zniecierpliwienia, nadpobudliwości i nagłymi, wulkanicznie wprost gwałtownymi wybuchami energii...

Co to jest? - zadawała sobie w duchu pytanie Synnamon, kręcąc się po mieszkaniu zupełnie tak, jakby usiłowała pozbiierać pogubione myśli i dojść w ten sposób do ładu z samą sobą. Może bierze mnie grypa? Może jestem znerwicowana? A może...

- Wielkie nieba! - wykrzyknęła, znalazłszy się, w drodze z salonu do kuchni, mniej więcej pośrodku holu. - A może ja jestem w ciąży?

## ***ROZDZIAŁ TRZECI***

W kuchni Synnamon przysiadła na krzesło i zaczęła analizować sytuację.

A jeśli nawet jestem w ciąży, to co? - zadała sobie w duchu pytanie.

Odpowiedź nasunęła się jej niemal natychmiast.

- To nic! Zupełnie nic - odezwała się z przekonaniem sama do siebie.

Wychować dziecko to przecież żaden problem, jeśli tylko ma się odpowiednie zabezpieczenie finansowe. A ja mam, kontynuowała w myślach, ani trochę nie tracąc początkowego optymizmu. No i jeśli się ma odpowiednią ilość czasu, a ja już od nowego roku będę miała.

- Dziecko to żaden problem! - powtórzyła na głos, tonem tak autorytatywnym, jakby była kobietą, która odchowala już co najmniej trójkę potomstwa.

Tylko co ja mam teraz zrobić? - zaczęła się po chwili gorączkowo zastanawiać, nagle straciwszy część dotychczasowej pewności siebie. Zawiadomić Connera?



O, nie! - zdecydowanie odrzuciła myśl o podzieleniu się z mężem sensacyjną nowiną. A może wezwać lekarza? Bez przesady, wystarczy pójść do lekarza po świętach... a właściwie to chyba nie trzeba nawet tak od razu iść. No, więc? Aha, najpierw wypadałoby kupić test w aptece i zrobić go sobie samodzielnie w domu. Bo przecież może ja wcale nie jestem w ciąży? Może to tylko nerwy? Albo po prostu grypa?

Pierwszego dnia po świętach, jadąc do pracy, Synnamon wstąpiła do apteki i zaopatrzyła się w test ciążowy.

Gdy tylko znalazła się w swoim gabinecie w Sherwood Cosmetics, starannie przestudiowała instrukcję. A potem zamknęła się w toalecie, żeby z duszą na ramieniu przeprowadzić próbę.

Próba potwierdziła jej przypuszczenia. Ciąża okazała się faktem! Zatrważającym faktem, jeśli rozważać go już nie w kategoriach abstrakcyjnych, ale całkowicie konkretnych.

Synnamon mniej więcej od miesiąca nosiła w sobie załączek nowego życia, życia drugiej ludzkiej istoty. Istoty, która za rok, w następne Boże Narodzenie, powinna już być czteromiesięcznym dzieckiem. Płaczącym, marudzącym, brudzącym pieluszki, wymagającym mnóstwa najrozmaitszych starań i ciągłej troski w dzień i w nocy. Wymagającym tego wszystkiego od rodziców...

Nie! Wyłącznie od niej, samotnej matki po rozwodzie, stuprocentowo odpowiedzialnej za opiekę nad maleństwem, za jego zdrowie, rozwój, wychowanie.

Ciężar odpowiedzialności, jaki Synnamon nagle poczuła na swoich barkach, okazał się nazbyt wielki, jak na jej siły. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa, nie była w stanie się na nich utrzymać, musiała natychmiast usiąść na łazienkowym taborecie, szczęśliwym zbiegiem okoliczności znajdującym się w wyposażeniu toalety.

Usiadła i zaczęła płakać. Głównie ze strachu, choć może też ze wzruszenia, a nawet po trosze z radości, że mimo śmierci chrzestnej i rozstania z mężem nie będzie już sama na świecie, bo oto los zsyła jej do towarzystwa drugą ludzką istotę, a właściwie istotkę.

Synnamon siedziała i płakała na tyle długo, że aż zaniepokoiło to jej sekretarkę.

Armie, stwierdziwszy nieobecność szefowej w gabinecie, zastukała w którymś momencie dość energicznie do drzwi toalety i zapytała:

- Pani Welles, czy nic się pani nie stało?

Skonsternowana Synnamon głośno odkaszlnęła, chcąc zasygnalizować w ten sposób, że żyje, po czym otarła pośpiesznie resztkę łez i odpowiedziała:

- W porządku, Annie, nie denerwuj się! Nic mi nie jest, mam tylko drobne kłopoty z żołądkiem po świątecznym obżarstwie.

Wszystko, co znajdowało się w opakowaniu testu i służyło do jego przeprowadzenia zebrała trzęsącymi się lekko ze zdenerwowania rękoma w reklamówkę z apteki i niewiele myśląc, wepchnęła ją do szafki pod umywalką. A potem umyła starannie ręce i osuszyła higieniczną chusteczką zapłakane oczy, stwierdzając przy okazji z niejaką satysfakcją, że tusz do rzęs, reklamowany przez Sherwood

Cosmetics jako wodoodporny, istotnie nie rozmazuje się nawet w solance łez.

W końcu raz jeszcze kontrolnie spojrzała w lustro i przeszła z toalety do gabinetu. A w gabinecie - ku swemu ogromnemu zaskoczeniu - zastała nie tylko Annie, ale i Connera.

- Jest właśnie pan dyrektor - odezwała się sekretarka, albo nie wiedząc, co powiedzieć, albo dochodząc do mało prawdopodobnego wniosku, iż znękana żołądkowymi kłopotami szefowa może nie zauważyć wysokiego i postawnego mężczyzny w ciemnym garniturze, stojącego z rękoma w kieszeniach spodni toż przy jej biurku.

- Przecież widzę, Annie - mruknęła Synnamon. I zapytała męża:

- Cóż cię sprowadza tak z samego rana?

- Bardzo przepraszam, że cię nachodzę o tak wczesnej porze - odparł Conner, z kurtuazją godną wyjątkowo uważnego i chłonnego czytelnika książek hrabiny poświęconych dobrym manierom. - Ale widzisz, tak się złożyło, że mam dość poważne kłopoty...

Tak się złożyło, że ja też! - wtrąciła w duchu Synnamon.

- ...z jedną z linii produkcyjnych w zakładach w Fargo w północnej Dakocie - dokończył.

Tak się składa, że mój problem też się wiąże z pewnym rodzajem...  
produktywności! - stwierdziła w myślach Synnamon.

Natomiast głośno zapytała:

- Co się tam stało?

- Ktoś nie dopilnował procesu technologicznego i nie zastosował odpowiednich zabezpieczeń - wyjaśnił spokojnie Conner.

To przecież zupełnie tak jak ja tamtej nocy w Phoenix! - skojarzyła sobie Synnamon.

- I jakie są tego skutki? - zainteresowała się.

- Laboratoryjne testy, które stale prowadzimy w ramach monitoringu produkcji, wykazały pewne, hm...

Wielkie nieba, więc Sherwood Cosmetics też się dzisiaj testuje! - przemknęło Synnamon przez myśl.

- ...odstępstwa od norm jakościowych - dokończył po chwilowym namyśle Conner.

- Czy to znaczy, że któreś z naszych kosmetyków będą mogły teraz zaszkodzić użytkownikom? - zaniepokoiła się Synnamon, porzucając prowadzoną w myślach grę w skojarzenia i w obliczu kłopotów firmy zapominając chwilowo o własnym problemie.

- Niestety, to nie jest wykluczone - stwierdził zafrasowany Conner. - Jak zbadam sprawę na miejscu i zorientuję się dokładnie, co zaszło, wydamy stosowny komunikat. A na razie... - zawahał się.

- Na razie nie mamy jeszcze żadnych reklamacji, więc się na zapas nie przejmuj. Leć do Fargo i rób swoje, a ja tu na miejscu wszystkiego dopilnuję - zobowiązała się Synnamon, czując jeden z tych gwałtownych, choć niestety krótkotrwałych, przyplływów energii, jakie ostatnio nawiedzały ją od czasu do czasu.

- No, w takim razie lecę - mruknął Conner.

Obrócił się na pięcie i ruszył w kierunku drzwi. Chwyciwszy już za klamkę, zatrzymał się nagle i zerkając przez ramię na żonę, zapytał ją:

- Czy naprawdę nic ci nie dolega?

Przez ułamek sekundy Synnamon miała nieprzepartą chęć powiedzieć mężowi... a nawet wykrzyknąć... o tym, co się stało, podzielić się z nim całym swoim niepokojem, niepewnością, rozterką. Niemal natychmiast jednak stłumiła ten pierwszy odruch. Doszła do wniosku, że nowiny takiej, jak ta, którą ona miała do przekazania Connerowi, w żadnym wypadku nie podaje się do wiadomości w biurze, w obecności sekretarki.

Nie powiedziała zatem nic na temat ciąży, tylko powtórzyła to sarno dyplomatyczne kłamstwo, którym przed chwilą uspokajała obawy Annie:

- Podczas świątecznej biesiady musiałam trochę przeciążyć żołądek, to wszystko.

Conner Welles wzruszył trochę bezradnie ramionami i wyszedł.

- Na żołądek najlepsza gorąca herbata, zaraz zaparzę, jeśli pani pozwoli - odezwała się Annie i spojrzała wyczekująco na szefową.

Mimowolne w gruncie rzeczy skiniecie głową uznała za znak przyzwolenia i wyszła, żeby zagotować wodę.

Powiedziałam, że dokucza mi przeciążony podczas świątecznej biesiady żołądek, uzmysłowiła sobie Synnamon, kiedy została już sama. Wygląda to trochę tak, jakby bez względu na sytuację moja podświadomość nakazywała mi poinformować Connera...

Ale czy w ogóle muszę to robić, skoro mamy już wyznaczony termin rozvodu? I czy w ogóle chcę! - zadała sobie w myślach zasadnicze, niezmiernie trudne pytanie.

Nad odpowiedzią zastanawiała się długo, przez dobrych kilka godzin.

Nie chcę! Nie muszę! - podpowiadał jej buntowniczy wewnętrzny głos.

Ale przecież i tak w końcu wszystko wyjdzie na jaw, replikował jakiś inny, spokojniejszy, być może będący głosem rozsądku. Owszem, mogę poczekać jeszcze przez kilka czy kilkanaście dni, upewnić się, powtórzyć test, skonsultować się z lekarzem... Ale dłuższa zabawa w sekrety będzie wyglądała po prostu niepoważnie. Przecież nie uda mi się ukrywać ciąży aż do momentu rozwiązania.

A gdyby mi się udało? - odzywał się przekornie ten pierwszy, buńczuczny głos. Gdybym rzuciła pracę, sprzedała mieszkanie, przeniosła się z Denver do Phoenix, to... zachowałabym się jak rozhisteryzowana nastolatka, a nie jak dorosła kobieta z klasą,

konkludował wewnętrzny głos numer dwa. Przede wszystkim byłabym nielojalna wobec Annie, której obiecałam pomoc. A jeśli chodzi o Connera... to chyba należy mi się z mojej strony informacja o przyszłym ojcostwie, od którego rozwód przecież go nie uwolni.

W tym akurat punkcie rozważania Synnamon przerwał sygnał interkomu. Annie zameldowała:

- Pan Welles dzwoni z Fargo.

- Już tam doleciał? - zdziwiła się Synnamon, która pod wpływem gwałtownych emocji straciła najwyraźniej tego dnia poczucie czasu.

Po czym, zerknąwszy na zegarek, zreflektowała się i wykrzyknęła:

- Łącz, Annie, łącz!

- Łączę.

W słuchawce, po kilku nieartykułowanych trzaskach, rozległo się pytanie Connera Wellesa:

- Czy to już ty, Synnamon?

- Tak - odpowiedziała. - Jakie nowiny?

- Dobre i złe.

- To znaczy?

- Złe, bo na linii produkcyjnej nastąpiło skażenie bakteryjne, czyli takie, które najtrudniej zwalczyć. A dobre, bo już zorientowaliśmy się, gdzie do niego doszło, czyli zlokalizowaliśmy słaby punkt. A to już połowa sukcesu w walce o naprawę...

Czy gdybyśmy zdołali zlokalizować słaby punkt... albo raczej wszystkie słabe punkty... naszego małżeństwa, to też moglibyśmy spróbować je naprawić? - zaczęła się zastanawiać Synnamon, mimowolnie, ale tak intensywnie, że relacja męża z Fargo zupełnie przestała do niej docierać.

Z zamyślenia ocknęła się dopiero w momencie, kiedy

Conner, zdziwiony kompletną ciszą panującą po drugiej stronie linii telefonicznej, przerwał na chwilę swój wywód i zapytał:

- Jesteś tam?

- Jestem - odpowiedziała zgodnie z prawdą. Po czym skłamała: - Nie odzywam się, bo notuję.

- No więc, reasumując! - powrócił do przerwane go wątku Conner. - Produkcja wstrzymana, dezynfekcja rozpoczęta. Kontrolne badania zapasów, które my i nasi dystrybutorzy mamy w magazynach, zlecone niezależnym laboratoriom. Wystarczy teraz wydać komunikat, że ewentualne przejściowe braki na rynku pewnych naszych produktów wynikają z troski Sherwood Cosmetics...

- Rozumiem! - przerwała mężowi Synnamon, odkładając długopis i notatnik, z których tym razem istotnie skorzystała. - A tekst komunikatu informacyjnego dla klientów to już sama zredaguję, jeśli pozwolisz.

- Oczywiście! Przecież informacja... i dyplomacja... to twoja specjalność w naszej firmie, jako szefowej biura obsługi klientów - zreflektował się Conner. - Ja raczej zajmę się moim problemem. Zostanę w Fargo, póki się z nim nie uporam. Cześć!

- Cześć, Conner - rzuciła w słuchawkę Synnamon.

I odłożywszy ją, zaczęła się znów intensywnie zastanawiać, kiedy i w jaki sposób ona rozwiąże swój problem.

Conner Welles zapowiedział w kolejnej rozmowie telefonicznej, że wraca do Denver w sylwestra.

Jednak trzydziestego pierwszego grudnia nie pojawił się w swoim biurze w Sherwood Cosmetics ani rano, ani nawet w godzinach południowych.

Synnamon doszła do wniosku, że to fatalna pogoda, jaka panowała tego dnia w mieście zasypywanym raz po raz śniegiem i owiewanym nieustannie zimnym górskim wiatrem, spowodowała jakieś zakłócenia w rozkładzie lotów. Nie czekając na powrót męża z delegacji, zaczęła się pakować. W nowym roku miała już przecież pełnić w firmie jedynie rolę konsultantki, musiała więc udostępnić gabinet swojej następczyni, Annie.

Z szafek i szuflad powyciągała i powrzucała do sporej torby rozmaite drobiazgi. Natomiast z blatu biurka zdjęła oprawioną w srebrne ramki fotografię swojej zmarłej przedwcześnie matki, Rity Sherwood.

Był to fotograficzny portret z okresu wczesnej młodości, Rita prezentowała się na nim pięknie i radośnie. W późniejszych latach swego życia nadal była urodziwą

kobietą, jednak radość nie pojawiała się na jej twarzy w zasadzie nigdy, wyparta raz na zawsze przez gorycz, niezadowolenie i smutek.

Matka, jaką Synnamon pamiętała, była wiecznie zgorzkniałą, nieszczęśliwą osobą. Niezadowoloną ze wszystkiego, a w pierwszym rzędzie ze swego małżeństwa z apodyktycznym, oschłym i chorobliwie ambitnym pracoholikiem, Silasem Sherwoodem.

Cierpiała w tym związku, obdzielając swoim cierpieniem również córkę i męża. W efekcie Synnamon jeszcze jako dziecko musiała szukać psychicznego oparcia poza najbliższą rodziną, głównie u uwielbianej matki chrzestnej. Natomiast Silas izolował się od domu w swoim dyrektorskim gabinecie i laboratorium chemicznym.

Synnamon zastanawiała się niejednokrotnie, dlaczego jej rodzice nie rozeszli się, tylko dźwigali przez długie lata, aż po kres życia matki, coś, co musiało być dla nich obojga nieznośnym ciężarem. Ojciec, z reguły wyjątkowo małomówny, jeśli chodziło o osobiste tematy, napomknął jej kiedyś, że rozwód był niemożliwy ze względu na przekonania religijne Rity. Woląła cierpieć przez całe życie, niż się im sprzeniewierzyć.

Szczęście, że ja i Conner nie jesteśmy ludźmi tak niezłomnych przekonań i wolimy kulturalny rozwód od nieudanego małżeństwa, pomyślała Synnamon w swoim i męża imieniu, owijając portret matki w kancelaryjny papier i również umieszczając go w torbie.

Do gabinetu zajrzała Annie.

- Nie musi pani już dzisiaj wszystkiego pakować, pani Welles, przecież będzie na to mnóstwo czasu później - odezwała się tonem łagodnej perswazji.

- Nie! - zaoponowała zdecydowanie Synnamon. - Jeśli masz się naprawdę dobrze i pewnie poczuć w tym gabinecie, powinien być pod każdym względem twój, Annie. Tak, jak twój dotychczasowy pokój powinien stać się pokojem Sandry, która będzie ci asystowała jako sekretarka. Pamiętaj: nie przesiaduj tam, nie plotkuj z Sandrą, zacznij od razu ją traktować jak pracownicę, a nie jak koleżankę.

Przyjaźnie, ale z dystansem. To bardzo ważne, Annie, zwłaszcza na początku, kiedy będziesz musiała wyrabiać sobie w firmie pozycję i autorytet. No, skończyłam...

- stwierdziła, zamykając torbę.

- Pierwszą z obiecanych mi konsultacji, tak?

- To też - przytaknęła z uśmiechem Synnamon. - Ale właściwie miałam na myśli pakowanie. Cóż, wszystko już chyba pozbierałam... A jednak nie! - jęknęła, zajrzawszy do którejś z szuflad i załamała ręce. - Torba pełna, a tu jest jeszcze mnóstwo moich rzeczy. I w co ja to spakuję?

- Jest chyba jakaś reklamówka pod umywalką, pani Welles - rzuciła Annie i nim Synnamon zdążyła się zorientować w jej zamiarach, wpadła do toalety, złapała foliową torbę i chcąc ją szybko opróżnić, wysypała dotychczasową zawartość na podłogę. - O nie! - wykrzyknęła skonsternowana, spostrzegłszy, co było w reklamówce. - Pani Welles - zaczęła się sumitować - ja naprawdę nie miałam pojęcia...

- Wiem - przerwała jej Synnamon, starając się opanować i zachować powściągliwość w zdecydowanie niezręcznej sytuacji. - Nie rób sobie żadnych wyrzutów, bądź tylko łaskawa zachować dyskrecję.

- Oczywiście, pani Welles! - wykrzyknęła Annie i wybiegła z gabinetu, ponieważ w przyległym sekretariacie akurat zadzwonił telefon.

Ledwie Synnamon zdążyła zebrać z powrotem rozsypane na podłodze utensylia, sekretarka wróciła i zameldowała:

- Pani Welles, Carol dała mi znać, że pan dyrektor już przyleciał z Fargo i jest w swoim gabinecie.

- Chyba powinnam się z nim spotkać - mruknęła Synnamon i złapawszy feralną reklamówkę, żeby ją po drodze wrzucić do najbliższego kosza w holu, wyszła energicznym krokiem z gabinetu.

Nagle zdecydowała się nie czekać już dłużej i od razu powiedzieć Connerowi, że jest w ciąży. Nieważne, jak on zareaguje - pomyślała - ale przynajmniej ja będę to miała już za sobą!

Nie udało się. Conner był zajęty i zabronił Carol wpuszczać kogokolwiek do gabinetu. Dla żony nie uczynił wyjątku, więc sekretarka rozłożyła tylko bezradnie ręce i jęknęła:

- Przepraszam, pani Welles!

- Nic nie szkodzi - mruknęła Synnamon, starając się nie pokazać po sobie, jak bardzo jest zdeprymowana. - Wpadnę później albo zadzwonię.



Ponieważ chciała się trochę uspokoić przed ponownym zetknięciem się z osobą, która w przypadkowy sposób poznała jej tajemnicę, czyli z Annie, nie wróciła od razu do gabinetu, tylko wybrała się do pracowniczego bufetu na sok pomarańczowy. Posiedziała chwilę nad szklaneczką napoju, obserwując, jak bufetowa i jej dwie pomocnice kończą przygotowania do sylwestrowego przyjęcia, wydawanego przez dyrekcję, zgodnie z wieloletnim zwyczajem, dla całego personelu biurowca. A potem postanowiła wrócić do siebie.

Idąc przez hol, Synnamon zatrzymała się mimowolnie w pobliżu dyrektorskiego biura. Zarówno drzwi sekretariatu, jak i drzwi gabinetu były akurat otwarte. Odruchowo zerknęła w głąb amfilady. Spostrzegła Connera w towarzystwie atrakcyjnej rudowłosej dziewczyny, która uśmiechała się promiennie, gdy on mówił do niej z ożywieniem:

- Porozmawiamy później, Nick. Przemyśl wszystko i daj mi znać.

Zszokowana, czym prędzej ruszyła korytarzem w kierunku swojego gabinetu. Nie chciała przecież, by ktokolwiek pomyślał, że podgląda czy podsłuchuje męża. Nie chciała również, by Conner, tuż przed rozwodem, czuł się z jej powodu w jakikolwiek sposób skrępowany w zawieraniu znajomości czy dobieraniu sobie towarzystwa, również damskiego. W żadnym wypadku nie zamierzała być zazdrosna. A jednak...

Wróciła do siebie jakoś dziwnie rozdrażniona. Jej zdenerwowanie jeszcze się wzmogło, gdy sekretarka powitała ją wiadomością:

- Carol właśnie dzwoniła i przekazała mi, że pan Welles już pozałatwiał wszystkie ważne sprawy...

Łącznie z tą najważniejszą, z rudymi włosami na głowie! - pomyślała z goryczą i sarkazmem.

- ...więc gdyby pani zechciała się z nim spotkać, to... - kontynuowała Annie.

- Daruję sobie! - przerwała jej. - Nie będę już dzisiaj nachodzić pana Welleśa. Jadę do domu.

- Jak to? - zdziwiła się Annie. - A przyjęcie?

- Daruję sobie - powtórzyła Synnamon. - Nie jestem dzisiaj w nastroju, więc nie będę innym psuć zabawy smętną miną.

- Ależ, pani Welles! - wykrzyknęła Annie. - To przecież ma być... Wielkie nieba! - jęknęła i zasłoniła sobie dłonią usta, milknąc w pół zdania. - Miałam pani nie mówić... - zawahała się.

- Że co?

- No właśnie, miałam nie mówić, ale już powiem, skoro pani chce uciec do domu... że to ma być nie tylko zwykłe przyjęcie sylwestrowe, ale też pożegnalne przyjęcie na pani cześć.

Synnamon z wrażenia aż przysiadła na jednym z krzeseł przeznaczonych dla interesantów.

- Dziwne rzeczy dzieją się w tej firmie za moimi plecami! - stwierdziła z westchnieniem. - Nie dość, że dowiaduję się o wszystkim ostatnia, to nawet nie wypada mi dyskretnie zniknąć.

- Oj, całkiem nie wypada, pani Welles! - przyświadczyła Annie.

- Więc już poczekam na tę stypę... to znaczy na to pożegnanie - mruknęła z rezygnacją Synnamon, wstając z krzesła. - Ale spotkanie z panem Wellesem dzisiaj sobie daruję.

Spotkania z Connerem Synnamon jednak nie uniknęła. Ledwie bowiem wsunęła się do bufetu, który na okoliczność przyjęcia pełnił rolę baru, i zamówiła sobie bezalkoholowe piwo imbirowe, dla niepoznaki w lampce od szampana, znalazł się przy niej mąż. Z rudowłosą asystą!

- Witaj, Synnamon - odezwał się z uśmiechem. - Przedstawiam ci Nicole Fox. Ta dziewczyna bardzo nam pomogła dojść do ładu z linią produkcyjną w Fargo.

Synnamon z rezerwą wyciągnęła rękę do atrakcyjnego rudzielca i zapytała:

- Mieszka pani w Fargo, Nicole?

- Nie, pani Welles, mieszkam w Denver - usłyszała w odpowiedzi. - Conner i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi.

- Doprawdy?

- Tak się składa. Starymi i dobrymi przyjaciółmi...

- Dlatego właśnie poprosiłem Nick o pomoc w związku z tym skażeniem w naszych zakładach - wyjaśnił Conner. - Po starej znajomości zgodziła się zmarnować trochę czasu...

- Akurat byłam wolna - wtrąciła Nicole.

- ...i polecieć ze mną do Fargo, w roli konsultantki - dokończył.

- I w efekcie tych konsultacji... - ironicznym tonem odezwała się Synnamon, zawieszając głos w pół zdania.

- Skażenie zostało szczęśliwie zlikwidowane - stwierdził z satysfakcją Conner. - A ja zaproponowałam Nicole stanowisko szefowej działu badawczo-rozwojowego w Sherwood Cosmetics - dodał po chwili.

Synnamon zmierzyła męża przenikliwym i podejrzliwym zarazem spojrzeniem. Nie powiedziała jednak nic, ponieważ Conner, jako dyrektor naczelny firmy, miał całkowicie wolną rękę we wszelkich decyzjach personalnych. Mógł zatrudnić, kogo uważał za stosowne, nawet własną kochankę. I mógł każdego z pracowników zwolnić czy przesunąć na inne stanowisko, również Andersona, który, jak na ironię, tak bardzo się domagał zwolnienia kilku osób ze swojego działu i napływu „świeżej krwi”.

- Nick to naprawdę świetna dziewczyna - odezwał się Conner, przerywając kłopotliwe milczenie.

Rudowłosa piękność uśmiechnęła się promiennie, usłyszawszy komplement. Natomiast Synnamon zamarkowała tylko uśmiech, z lekka krzywiąc zaciśnięte mocno wargi.

I wykrztusiła:

- Z pewnością przekonałabym się o tym, gdybyśmy miały okazję popracować razem w Sherwood Cosmetics. Ale skoro tak się składa, że ja odchodzę...

Synnamon rozłożyła bezradnie ręce i nie kończąc zdania, rzeczywiście odeszła, ponieważ przybiegła po nią Annie z wiadomością, że jest pilnie proszona do głównego holu, gdzie zostanie jej uroczyście wręczony pożegnalny prezent od całego personelu.

Oficjalne pożegnanie ze współpracownikami z Sherwood Cosmetics w zaskakujący sposób uświadomiło Synnamon, że tak naprawdę to mogłaby się pożegnać ze stworzonym przez jej ojca imperium kosmetycznym tylko wtedy, gdyby pozbyła się swoich w nim udziałów. Dopóki jednak była współwłaścicielką firmy, miała prawo i obowiązek czuwać nad wszystkim, co się w niej działo dobrego i złego, również nad decyzjami personalnymi dyrektora.

Muszę porozmawiać z Connerem o Andersonie i tej Fox! - doszła do wniosku.

I zamiast dalej bawić się wraz z innymi na sylwestrowym przyjęciu, zaczęła szukać męża. Connera nigdzie jednak nie było.

- A może pan Welles jest u siebie? - zasugerowała zapytana o szefa Carol.

Synnamon wymknęła się z przyjęcia i ruszyła w stronę dyrektorskiego gabinetu.

W tej części budynku, gdzie urzędował Conner, było cicho i prawie ciemno. Synnamon szła korytarzem trochę niespokojna, a nawet podenerwowana. Uzmysłowała sobie bowiem, że na rudowłosą Nicole Fox też nie natknęła się nigdzie w ciągu ostatnich trzech kwadransów, a w gabinecie, na rozłożystej sofie, sprowadzonej jeszcze przez Silasa Sherwooda, para „starych przyjaciół” mogłaby swobodnie...

Zupełnie zapominając o podstawowych zasadach dobrego wychowania, a nawet o zwykłej ostrożności, roztrzęsiona Synnamon bez pukania wkroczyła do gabinetu męża.

Był otwarty, ale ciemny i pusty.

Synnamon odetchnęła z ulgą i już miała się wycofać, gdy nagła fala mdłości, spowodowanych po części przez odmienny stan, a po części zapewne przez zdenerwowanie, zmusiła ją do pilnego skorzystania z toalety, przylegającej bezpośrednio do gabinetu.

Nie zdążyła jeszcze wyjść, gdy w gabinecie zjawił się Conner.

Zapalił światło i zapytał zdziwiony:

- A co ty tu robisz, Synnamon?.

- Jak widzisz, wymiotuję, jakby to ładnie powiedziała hrabina.

- Poncz ci zaszkodził?

- Nie, bo nawet go nie tknęłam.

- W takim razie pewnie szampan. Z bąbelkami tak bywa, nic się nie przejmuj - z całkowitą wyrozumiałością stwierdził Conner.

- Tym akurat się nie przejmuję, ale... - Synnamon zawahała się.

- Ale co?

- Pozwolisz, że usiądę?

- Jasne, tylko przejdźmy do gabinetu. Siadaj, gdzie ci wygodnie - zaprosił żonę Conner, wskazując zamaszystym gestem na sofę i cztery wygodne fotele, rozstawione w jej pobliżu wokół niewielkiego okrągłego stolika.

Synnamon skuliła się w fotelu. Conner, przyjąwszy wygodną, cokolwiek nonszalancką pozę, zajął miejsce naprzeciwko niej.

- Carol mi wspominała - odezwał się - że najpierw chciałaś ze mną porozmawiać, a potem zmieniłaś zdanie... Czemu zawdzięczam tę kolejną zmianę?

- Zapytaj raczej, komu - rzuciła Synnamon, chcąc zyskać odrobinę czasu na uporządkowanie dość chaotycznych w tym momencie myśli.

- Komu zatem?

- Nicole Fox.

- A co ty masz mi do powiedzenia na jej temat? - obruszył się Conner.

- Właściwie nic.

- No więc?

- Właściwie nic, poza tym, że nie widzę jej na miejscu Andersona - stwierdziła Synnamon.

- Dlaczego? - zdziwił się Conner. - Nick ma przecież doskonałe kwalifikacje, nowatorskie pomysły, mnóstwo twórczej energii...

- Ale Anderson...

- Anderson chciałby zamaskować własne rutyniarstwo rozradami personalnymi w swoim dziale.

- Ale Anderson jest mężczyzną - zauważyła enigmatycznie Synnamon.

- Fakt!

- A Nicole Fox jest kobietą.

- Nie da się ukryć - przytaknął Conner. - Tylko co z tego? - Wzruszył ramionami.

- Jak to, co?

- No, przecież ty też jesteś...

- Ale ja stąd odchodzę, a ona ma tu przyjść! - wybuchnęła Synnamon, tracąc nagle panowanie nad sobą.

- Ale przecież nie na twoje miejsce - zauważył zdezorientowany Conner.

- To wcale nie jest takie pewne! - wykrzyknęła histerycznie Synnamon, dając w ten sposób pełny upust tłumionym przez kilka ostatnich dni emocjom. - Zresztą, tak czy inaczej, ona ma przyjść, a ja odchodzę!

- Odchodzisz, bo chcesz - stwierdził Conner.

- Odchodzę, bo jestem w ciąży!

Zwierzywszy się mężowi z sekretu - co prawda nie w takiej powściągliwej formie, jaką niewątpliwie zalecałaby hrabina - poczuła niewypowiedzianą ulgę.

Odniosła wrażenie, że zdjęła w jednej chwili ze swoich delikatnych kobiecych ramion jakiś ogromny ciężar i przerzuciła go, a przynajmniej jego część, na mocne męskie barki.

Dlatego odetchnęła, odprężyła się, uspokoiła, wyprostowała.

Tymczasem zaszokowany wiadomością Conner Welles przygarbił się, pochylił, zafrasował, opuścił głowę. Po prostu ugiął się pod brzemieniem...

Czego? Zapewne ojcowskiej odpowiedzialności.

- Przykro mi - rzuciła Synnamon, nie bardzo wiedząc, co właściwie powinna powiedzieć.

I zostawiła Connera samego z problemem niespodziewanego ojcostwa.

Opuściła biuro męża i biurowiec Sherwood Cosmetics. Pojechała do domu. A w domu zaparzyła sobie herbatę i usiadła z nią w fotelu w salonie.

Po wypiciu gorącego napoju, filiżankę odstawiła na stolik. I zmęczona wrażeniami tak bieżącego, jak i kilku poprzednich dni, po prostu usnęła. Obudził ją zgrzyt klucza w zamku, w wieczornej ciszy głośny niczym wystrzał z pistoletu.

Zdziwiona, z lekka przestraszona, wybiegła do przedpokoju, żeby sprawdzić, kto wchodzi do jej mieszkania o tak późnej porze. Komplet kluczy miały poza nią tylko dwie osoby: gosposia, pani Ogden oraz...

- Conner?! - wykrzyknęła na widok męża, nie kryjąc zdziwienia.

- Jak widzisz, jestem - odpowiedział.

- Po co przyszedłeś?

- Żeby porozmawiać.

- O czym?

- Zapytaj raczej, o kim...

- Więc?
- O tobie i o mnie, o nas. No i o moim dziecku!

## ***ROZDZIAŁ CZWARTY***

- To nie jest twoje dziecko, Conner! - palnęła bez namysłu Synnamon.
  - Jak to? Czy mam rozumieć, że ty...
  - Nie! - przerwała mężowi, domyślając się, że chce zapytać, czy ojcem dziecka jest jakiś inny mężczyzna.
  - No więc...
  - Zaszłam w tę ciążę z tobą, w Phoenix - wyjaśniła. - Ale ponieważ do tamtego zbliżenia między nami doszło wyłącznie z mojej inicjatywy, ponieważ ja cię po prostu sprowokowałam, to biorę całą odpowiedzialność na siebie. Zwłaszcza że nasze małżeństwo już wkrótce przestanie istnieć.
  - Ale jeszcze istnieje - zauważył Conner, starając się mówić spokojnie i panować nad emocjami.
  - To nieistotne! - stwierdziła Synnamon, nerwowo podnosząc głos. - Przecież wszystkie sprawy związane z rozwodem już ostatecznie uregulowaliśmy - monologowała. - Możesz być pewien, że ja w związku z ciążą nie będę się od ciebie domagała żadnego wsparcia, ani psychicznego, teraz czy po rozwiązaniu, ani finansowego, bo przecież moje udziały w Sherwood Cosmetics zapewniają mi dochody wystarczające na utrzymanie siebie i dziecka na odpowiednim pozio...
  - Kobieto, przestań! - wykrzyknął Conner przytłoczony potokiem słów.
- Synnamon na moment posłusznie umilkła, zaskoczona gwałtowną reakcją powściągliwego zazwyczaj małżonka. Po czym spytała:
- Dlaczego na mnie krzyczysz?
  - Bo gadasz bez przerwy i nie dopuszczasz mnie do głosu.
  - Głos decydujący masz w firmie. A jeśli chodzi o moje osobiste sprawy...
  - Synnamon, to są nasze sprawy - stwierdził dobitnie Conner.
  - Nas już nie ma, nie pamiętasz? Jesteśmy tylko ty i ja, każde z osobna.

- Nieprawda - sprzeciwił się Conner. - Jeszcze jesteśmy razem, jeszcze nie wzięliśmy rozvodu. A skoro okazuje się, że mamy nie tylko wspólną fabrykę kosmetyków...

- Którą już podzieliliśmy na dwie równe części - wtrąciła Synnamon.

- ...ale i wspólne dziecko - konsekwentnie ciągnął swój wywód Conner - to kwestię naszego rozstania powinniśmy jeszcze raz starannie przeanalizować. I to nie w przedpokoju, jak mi się zdaje - dodał. - Pozwolisz, że wejdę?

- Rób, co chcesz! - burknęła nachmurzona Synnamon i cofnęła się do salonu.

Conner Welles powiesił płaszcz na wieszaku i ruszył w głąb mieszkania.

Rozejrzał się uważnie po salonie - pokaznym, zastawionym luksusowymi, pochodzącymi od najlepszych projektantów i wytwórców meblami - zupełnie jakby usiłował sobie przypomnieć jego wygląd po kilkutygodniowej nieobecności. A potem przysiadł w fotelu i spróbował przedstawić Synnamon swój punkt widzenia.

- Bo widzisz... - zaczął.

- Nic nie widzę! - przerwała mu natychmiast ze złością. - Robi mi się ciemno przed oczyma, jestem zmęczona, jestem w ciąży, muszę się położyć...

Czując, że za chwilę wybuchnie płaczem, przerwała w tym momencie, wybiegła z salonu, wpadła do sypialni i zamknęła za sobą drzwi na klucz.

Było jej wszystko jedno, co ma do powiedzenia Conner, było jej wszystko jedno, co Conner zrobi ze sobą w tę sylwestrową noc - czy zostanie, czy wróci do hotelu, czy może uda się na jakiś bal i będzie się szampańsko bawił do białego rana. Nie chciała od niego niczego, poza jednym: by dał jej święty spokój!

Rzuciła się więc na łóżko, nakryła głowę poduszką i natychmiast usnęła.

Spała mocnym, głębokim, choć dość męczącym, pełnym denerwujących widziadeł snem aż do rana, kiedy to zbudził ją... zapach kawy.

Zastanawiając się, kto mógłby ją zaparzyć, skoro gosposia w pierwszy dzień nowego roku miała wolne, przeszła w szlafroku do kuchni i natknęła się na męża.

- To ty jeszcze tu jesteś? - spytała go zdziwiona.

- Jestem i nigdzie się nie ruszę, póki nie doprowadzimy do końca naszej wczorajszej rozmowy - oświadczył zdecydowanie. - Podać ci kawę?

- Poproszę.



Usiadła przy kuchennym stole, Conner nalał kawy do dwu filiżanek, dla niej i dla siebie.

Zupełnie jak w pierwszych, szczęśliwych, a przynajmniej dość sympatycznych dniach naszego małżeństwa, pomyślała z niejakim rozrzewnieniem. I nawet leciutko się do własnych myśli uśmiechnęła.

- Dziś czujesz się chyba troszkę lepiej niż wczoraj wieczorem, prawda? - zagadnął ją Conner.

- Dzisiejszy dzień dopiero się zaczął, do wieczora daleko - mruknęła enigmatycznie.

- To znaczy, że mamy mnóstwo czasu na negocjacje! Synnamon wzruszyła ramionami.

- Ile razy mam ci powtarzać, że moja ciąża to nie jest twoja sprawa? - spytała ostrym tonem. - Żadnych negocjacji nie będzie, w ogóle nie mamy o czym dyskutować! Urodzę dziecko i już.

Conner Welles spojrzał na żonę w skupieniu.

- To już jest coś, skoro decydujesz się urodzić - stwierdził.

- A co? - obruszyła się Synnamon. - Myślałeś może, że ja biorę pod uwagę...

- Rozwahałem różne wersje dalszego rozwoju wypadków - przerwał jej.

- A ja nie!

- Tobie łatwiej, bo masz tutaj głos decydujący.

- Cieszę się, że zdajesz sobie z tego sprawę - mruknęła. - Czy w związku z tym naszą rozmowę możemy uznać za skończoną?

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo narodziny to dopiero początek w życiu dziecka. Potem jeszcze trzeba je wychować.

- Ja to zrobię! - wykrzyknęła Synnamon.

- A jesteś pewna, że sobie z tym poradzisz w pojedynkę, skoro nie zawsze sobie radzisz nawet sama z sobą?

- Nie rozumiem... Co masz na myśli?

- Nerwicę, którą wyniosłaś z domu rodziców - bez ogródek stwierdził Conner Welles. - Z bogatego, luksusowego, komfortowego, ale wychowawczo wyjątkowo niedoskonałego domu Sherwoodów.

- Czy to moja wina, że rodziców miałam takich, a nie innych? - zaciętrzewiła się Synnamon.

- Oczywiście, że nie - przyznał Conner pojednawczym tonem. - Ale nie ma w tym również żadnej winy naszego dziecka.

- To moje dziecko!

- Powtarzasz to z dziecinnym uporem, choć jako osoba dorosła powinnaś zdawać sobie doskonale sprawę, że poczęcie nie jest możliwe bez udziału dwojga ludzi, kobiety i mężczyzny.

- Ty już swoje zrobiłaś!

- A ja uważam, że nie.

- Więc co jeszcze chciałbyś robić? Zabierać dziecko na weekendy i wakacje? A może tylko na lody i na huśtawki do parku?

- Nie kpij, Synnamon - zniecierpliwiał się w miarę spokojny dotąd Conner. - Zupełnie nie o to mi chodzi.

- A o co? - wybuchnęła. - Chcesz może mi to dziecko odebrać?

- Chyba zwariowałaś! Przecież dziecko nie powinno wychowywać się bez matki.

- Więc?

- Więc na razie ja po prostu tu zostaję, w tym domu - stwierdził spokojnie, lecz stanowczo Conner. - W naszym domu.

Pełna powagi determinacja męża sprawiła, że nastrojona dotąd wyjątkowo buńczucznie Synnamon nagle poczuła się bezradna i zdezorientowana. Dlatego umilkła i nie próbowała kontynuować dyskusji. Zjadła też posłusznie śniadanie, które on przygotował: omlet i grzanki.

Z braku argumentów pozostał jej już tylko jeden pomysł na wyplątanie się z kłopotliwej sytuacji, w jakiej niespodziewanie się znalazła - skorzystanie z rady i pomocy osobistej prawniczki, Morei Landon. Postanowiła do niej zadzwonić w

odpowiedniej chwili, gdy Conner zajmie się czymś i nie będzie mógł się wsłuchiwać w rozmowę.

Taka chwila nadeszła niebawem, kiedy Conner zajął się naprawą ciekącego już od dłuższego czasu kranu w łazience. Synnamon szybko schroniła się w sypialni i zadzwoniła do adwokatki.

Niestety, nie było jej w domu. Odezwała się automatyczna sekretarka i Synnamon przypomniała sobie o planowanym przez Moreę noworocznym wypadzie w góry, na narty. Odłożyła słuchawkę, nie zostawiając na taśmie żadnej wiadomości.

Nic straconego! - pomyślała, chcąc dodać sobie otuchy. Zadzwonię do niej jutro, do kancelarii. Już jutro...

Tymczasem jednak było jeszcze „dzisiaj”. Świąteczny, pierwszy dzień nowego roku płynął powoli i trzeba go było czymś wypełnić. Czymkolwiek.

Nie znajdując dla siebie ciekawszego zajęcia, Synnamon zaczęła nerwowo krążyć po mieszkaniu.

W saloniku telewizyjnym natknęła się na Connera. Siedział przed odbiornikiem z pilotem w ręku i przełączał program z kanału na kanał.

- Chciałbyś obejrzeć jakąś ciekawą relację z sylwestrowego balu? - zapytała Synnamon.

- Nie. Chciałbym obejrzeć jakiś ciekawy mecz. Bo wiesz - dodał tytułem wyjaśnienia - nasza amerykańska liga futbolowa właśnie dzisiaj rozpoczyna nową turę rozgrywek.

- Nie wiedziałam - mruknęła Synnamon. - Nie będę ci przeszkadzać.

Cofnęła się w kierunku drzwi, z zamiarem wyjścia z pokoju.

- Zostań! - powstrzymał ją Conner. - Porozmawiajmy!

- Przecież będziesz oglądał mecz futbolowy.

- Nie muszę! To w końcu tylko zabawa, z tym futbolem. A my mamy kilka poważnych spraw do omówienia. Usiądź!

Synnamon wahała się przez moment, stojąc przy drzwiach, w końcu jednak zdecydowała się przysiąść w wolnym fotelu.

Conner pstryknął pilotem i wyłączył telewizor.

- Widzisz - odezwał się - skoro już jest to dziecko...

- Jeszcze go nie ma!

- Jest w drodze, jak to się mówi. Więc, skoro nasze dziecko jest już w drodze, to my nie możemy przecież dłużej zachowywać się tak, jakbyśmy dla siebie po prostu nie istnieli. Nie możemy udawać...

- Ale czy musimy od razu wspólnie mieszkać? - przerwała mężowi pytaniem Synnamon.

- Może i nie musimy. Ale możemy, jestem tego pewien - stwierdził z przekonaniem Conner. - Właśnie dlatego z powrotem wprowadziłem się do domu.

- Wprowadziłeś się i uważasz, że wszystko jest już w porządku, tak?

- A czemu miałoby być inaczej?

- No, wiadomo czemu! - obruszyła się Synnamon. - Przecież my nie możemy... nie umiemy... razem żyć.

- Nie? - Conner zdziwił się, a raczej udał zdziwienie. - A kiedyś, zaraz po ślubie, umieliśmy.

- Powiedz lepiej, że próbowaliśmy się nauczyć, ale nic z tego nie wyszło.

- A może daliśmy sobie na tę naukę za mało czasu, nie sądzisz?

- Ja już nie wiem, co o tym wszystkim sądzić! - zniecierpliwiła się Synnamon. - I prawdę mówiąc, nie mam chęci bawić się w snucie przypuszczeń, co by mogło być, gdyby...

- Chwileczkę! - nie dawał za wygraną Conner. - Nasza obecna sytuacja nie wynika z przypuszczeń, tylko z faktów. Nadal jesteśmy rodziną, skoro nasz związek małżeński nie został jeszcze rozwiązany. Nadal mamy wspólny dom. I za kilka miesięcy będziemy mieli dziecko. Czy to naprawdę nie wystarczy, żeby razem żyć? Przecież tu są chyba wszystkie przesłanki...

- A miłość? - zapytała Synnamon.

Conner zamilkł i zamyślił się głęboko, wyraźnie stropiony tym, że nieprzewidywalny czynnik uczuciowy przeszkadza mu w wyprowadzeniu precyzyjnego, logicznego dowodu jego racji. A w końcu westchnął:

- Ech, miłość! Miłości nie da się wprawdzie zaprogramować...

- Właśnie! - wtrąciła Synnamon.

- ...ale z powodzeniem można bez niej żyć w rozsądnym partnerskim układzie - dokończył przerwana myśl Conner.

- Tak sądzisz? - zapytała retorycznie Synnamon. - Ale zastanów się, z łaski swojej, jakie to może być życie.

- Rozsądne i partnerskie - usłyszała w odpowiedzi. - A przy tym długie i szczęśliwe. I na dodatek bezpieczne. I spokojne!

- Jak stojąca woda w kałuży? - zakpiła.

- A wolisz co? - odciął się Conner. - Sztorm? Powódź? Tajfun? Oberwanie chmury?

- Wolę rozwód! I dlatego się na ten rozwód zdecydowałam, tak samo zresztą, jak ty.

- Tamtą decyzję podejmowaliśmy w zupełnie innej sytuacji. Teraz...

- Teraz ja jestem w ciąży, to już oboje wiemy - zniecierpliwiła się Synnamon. - I chcę urodzić i wychować dziecko. Sama!

- Skoro chciałaś sama wychowywać, to trzeba ci było samej zająć w ciążę - palnął Conner. - Wtedy ja nie miałbym nic do tego. A tak... - zawahał się.

- Tak czy inaczej, do pozostania w związku z tobą mnie nie zmusisz!

- Ale mogę cię namawiać - stwierdził Conner. - I będę to robił aż do skutku.

Deklaracja została wypowiedziana stłumionym, spokojnym głosem. Zrobiła jednak na Synnamon ogromne wrażenie, prawdopodobnie znacznie większe niż ewentualne groźby czy zaklęcia.

Conner Welles nie wszczynał kłótni. Ani o nic nie prosił. On tylko w skupieniu referował plan swoich działań na przyszłość. Swój biznesplan, chciałoby się powiedzieć.

Synnamon uzmysłowiła sobie po raz kolejny, że nie może sama prowadzić z mężem negocjacji. Doszła do wniosku, że ze względu na swoje nadmierne zaangażowanie emocjonalne nie jest w stanie celnie argumentować i kontrargumentować, i musi skorzystać z pomocy fachowca. Bez Morei Landon nie dam sobie rady, stwierdziła w myślach.

Nie próbując już dłużej spierać się z mężem o przyszłość, skoncentrowała się na dniu dzisiejszym: przeszła do salonu i zaczęła przeglądać noworoczne gazety.

Conner włączył telewizor. Synnamon słyszała zza ściany podekscytowany głos komentatora sportowego, doping kibiców zgromadzonych na stadionie. I od czasu do czasu niezbyt pochlebne okrzyki męża, którego ulubiona drużyna najwyraźniej była podczas inauguracji sezonu futbolowego w nie najlepszej formie i ku jego ogromnemu niezadowoleniu traciła w grze punkt po punkcie.

Ktoś musi coś stracić, żeby ktoś mógł coś zyskać, pomyślała filozoficznie Synnamon. Na przykład Anderson musi stracić stanowisko na rzecz Nicole Fox.

Przypomniawszy sobie urodziwą rudowłosą chemiczkę, zaczęła się zastanawiać, czy Conner powiedział jej już, że zostanie ojcem i zamierza zrewidować swoje wcześniejsze rozwodowe plany.

Gdybym ja z nim została - konkludowała w myślach - to Nick zostałaby na lodzie. Przegrałaby! Ale czy ja na pewno na tym wygram, jeśli zamiast kulturalnego rozwodu, będę miała niewydarzone małżeństwo, kropka w kropkę podobne do fatalnego związku moich rodziców?

## *ROZDZIAŁ PIĄTY*

Odpowiedź brzmiała oczywiście - nie!

Dlatego następnego dnia rano, drugiego stycznia, jeszcze przed podniesieniem się z łóżka, Synnamon z determinacją sięgnęła po słuchawkę stojącego na nocnym stoliku telefonu i połączyła się z kancelarią Morei.

- Pani Landon miała być dziś od rana w sądzie - poinformowała ją sekretarka. - Jak przyjedzie, mogę oddzwonić, jeśli pani na tym zależy.

- Ogromnie mi zależy! - potwierdziła Synnamon. - Proszę zaraz oddzwonić. To pilne!

Szczęśliwie nie odczuwając tego dnia porannych mdłości, wstała z łóżka i ubrała się w dzinsy i sweter. Stopy natomiast wsunęła w nieco podniszczone, ale niesamowicie wygodne kapcie.

Było jej trochę dziwnie nie wkładać, jak dotychczas w każdy powszedni dzień przed wyjściem do pracy, jedwabnej bluzki, eleganckiego kostiumiku i pantofelków na wysokich obcasach.

Cóż, muszę się chyba przyzwyczaić do domowego stroju, skoro od dzisiaj nie jestem już szefową działu w dużej firmie, tylko zwyczajną kurą domową, pomyślała. A teraz muszę sprawdzić, czy Conner już wyszedł. I czy jest pani Ogden.

Zarówno męża, jak i gosposię Synnamon zastała w kuchni. Pani Ogden nakładała właśnie Connerowi na talerz porcję parówek.

- Solidne śniadanie! - odezwała się kpiącym z lekka tonem.

- W sam raz dla solidnego mężczyzny przed dniem solidnej pracy - odpowiedział Conner. - Prawda, pani Ogden?

- Ma się rozumieć, proszę pana - potwierdziła gosposia i promiennie się uśmiechnęła.

Pani Ogden, energiczna i pogodna niewiasta pod sześćdziesiątkę, bardzo lubiła Connera Wellesa, podobnie jak świętej pamięci hrabina. I bez wątplenia ogromnie się ucieszyła, widząc go w nowym roku znów w domu.

- Czy na mnie też czeka takie posilne danie, pani Ogden? - pół żartem, pół serio zapytała Synnamon.

- Szczerze mówiąc, to nie, proszę pani, ale mogę naszykować w jednej chwili - odpowiedziała gosposia.

- Dziękuję, nie trzeba. Ja już od dziś nie pracuję, więc nie muszę aż tyle jeść.

- Och, tak pani mówi, jakby pani do tej pory jadła więcej niż mały ptaszek! - z lekka zrzędliwym, choć równocześnie pełnym troski tonem stwierdziła gosposia. - To ostatecznie, co podać?

- Wystarczy mi filiżanka kawy i grejpfrut.

- Jak pani nie chce zjeść nic porządnego, to niech będzie kawa i grejpfrut, już się robi. Proszę siadać obok pana Wellesa. Taka piękna z państwa para, że aż miło popatrzeć!

Zanim nachmurzona Synnamon zdążyła zająć miejsce obok męża, zadzwonił zainstalowany w kuchni telefon.

Odebrała pani Ogden.

- Pani Landon do pani - poinformowała Synnamon.

Conner uniósł lekko głowę znad talerza i zmarszczył brwi, nie odezwał się jednak ani słowem.

- Zaczekaj chwileczkę przy aparacie, Morea, ja tylko przejdę do pokoju - rzuciła w słuchawkę Synnamon i wybiegła z kuchni.

- Gospościa cię podsłuchuje, czy co? - zdziwiła się prawniczka, kiedy Synnamon, nie domykając w pośpiechu drzwi, wpadła do sypialni i odezwała się do niej z drugiego telefonu.

- Gospościa to nic, ale Conner...

- Conner? A skąd, do licha, on się u ciebie wziął tak z samego rana?

- Przyszedł już przedwczoraj wieczorem - wyjaśniła Synnamon.

- W sylwestra?

- Tak.

- Zapraszałaś go?

- Nie.

- A próbowałaś wyprosić?

- Oczywiście.

- I co?

- Niestety, nie dał się - jęknęła Synnamon. - Właśnie dlatego potrzebna mi twoja pomoc, Moreo, bo ja sama już zupełnie nie wiem, co robić. Mam Connera na karku i na dodatek jestem w ciąży!

- Ty jesteś w ciąży? Ale z kim? - padło nad wyraz konkretne pytanie.

- Z nim - odpowiedziała lakonicznie Synnamon.

- Znaczy, z Connerem?

- Tak.

- Od przedwczoraj?

Mimo zdenerwowania, Synnamon parsknęła w słuchawkę głośnym śmiechem.

- Nie od przedwczoraj, tylko od zeszłego miesiąca - wyjaśniła. - To się stało w Phoenix. Byłam strasznie przybita z powodu hrabiny i Conner... - Zakłopotana zawiesiła głos.

- Pocieszył cię? - podpowiedziała Morea.



- Właśnie.

- I teraz co? Cieszysz się nadal, czy zdążyłaś dojść do wniosku, że już nie masz powodów do radości?

- Morea, nie kpij!

- A co niby mam robić? - zaczęła utyskiwać prawniczka. - Można się tylko śmiać lub płakać, jeśli ktoś postępuje tak... hm... niekonwencjonalnie, jak ty. Najpierw oddajesz Connerowi bez oporów pół fabryki, byleby tylko gładko uzyskać rozwód, a potem sama mu się oddajesz na dwa i pół miesiąca przed rozwodem, i jeszcze zachodzisz z nim w ciążę. A teraz pozwalasz mu się wprowadzić do mieszkania, zamiast zawczasu zmienić zamki, a jeszcze lepiej cały lokal... Mam nadzieję, że Conner nic nie wie o twoim odmiennym stanie? - zapytała, zmieniając ton na bardziej rzeczowy.

- Niestety, wie.

- Od kogo?

- Ode mnie - przyznała się ze skruchą Synnamon.

- No, to już koniec! Ja odkładam słuchawkę, a ty zacznij sobie szukać innego adwokata.

- Morea, nie wygłupiaj się! - jęknęła Synnamon. - Spotkajmy się gdzieś w mieście, porozmawiajmy spokojnie, przeanalizujmy punkt po punkcie całą sprawę.

- Tak bardzo ci zależy?

- Wyjątkowo! I wyjątkowo mi zależy na rozmowie z tobą, a nie z jakimś obcym prawnikiem. Z nikim innym nie umiałabym rozmawiać o tak osobistej sprawie. Nikt inny nie może mi pomóc, tylko ty!

- Faktycznie, chyba tak - zreflektowała się Morea Landon. - Nikt inny już teraz nawet nie tknie całej tej gmatwaniny, do której doprowadziłaś swoim lekkomyślnym i niekonsekwentnym postępowaniem. Umówmy się na lunch w „Panoramie”...

- Wszędzie, tylko nie tam! - zaprotestowała Synnamon. - Mnie i tak stale w głowie się kręci, więc w tej knajpie, wirującej wśród chmur, to już na pewno dostanę morskiej choroby.

- W takim razie spotkajmy się w „Maxie's Bar” - zaproponowała Morea. - Ten lokal jest nieruchomy i znajduje się na parterze. Może być?

- „Maxie's Bar"? Jasne!

- Godzina?

- Pierwsza.

- Tylko Synnamon, ja cię bardzo proszę - zastrzegła prawniczka - ty już nie zrób do pierwszej żadnego nowego głupstwa!

- Nie zrobię. Obiecuję!

- Trzymam cię za słowo i wyłączam się na razie. Cześć!

- Cześć.

Synnamon odłożyła słuchawkę. A potem mimowolnie spojrzała w stronę uchylonych drzwi sypialni i spostrzegła w nich Connera.

- Co ty tu robisz? Podsluchujesz? - zirytowała się.

- Nic podobnego - zaprzeczył z cynicznym trochę uśmiechem. - Ja po prostu czekam, aż skończysz rozmawiać przez telefon, żeby powiedzieć ci cześć, zanim wyjdę do pracy.

- Więc mów, bo właśnie skończyłam! - burknęła opryskliwie Synnamon.

- Cześć, kochanie! - rzucił Conner i wyszedł, nie czekając na odpowiedź żony. Ciężko westchnęła i wróciła do kuchni na kawę i grejpfruta.

- Podejrzewałam, że pani żałuje tego fatalnego pomysłu z rozwodem i bardzo się cieszę z powodu powrotu pana Wellesa do domu. Żeby to uczcić, przygotuję państwu na kolację jego ulubione danie, pieczeń wołową po burgundzku - oznajmiła uroczyście pani Ogden, podając jej filiżankę.

Synnamon nie wyjaśniła prostodusznej i romantycznie nastrojonej gosposi, że nie ma się z czego cieszyć, ponieważ ona zrobi wszystko, żeby doprowadzić do rozwodu i raz na zawsze pozbyć się z domu Connera. W milczeniu wypła poranną kawę i zjadła grejpfruta, a w południe ubrała się do wyjścia i nie mówiąc pani Ogden, dokąd się wybiera, pojechała do „Maxie's".

Morea Landon już tam była i siedząc przy barze, piła sok pomidorowy. Synnamon przysiadła się, zajmując miejsce na wysokim stołku obok. Prawniczka od razu na powitanie spytała ją z wyrzutem:

- Dlaczego Conner Welles dowiedział się o dziecku wcześniej niż ja? Przecież ja, jako twój adwokat, mam chyba prawo...

- A on, jako ojciec dziecka, nie? - wtrąciła się Synnamon.

- Ojciec, ojciec! - prychnęła pogardliwie Morea uważająca się za ortodoksyjną feministkę. - I cóż on ci proponuje w związku z zaistniałą sytuacją, ten ojciec?

- Proponuje mi rezygnację z rozwodu i utrzymanie małżeństwa dla dobra dziecka.

- A to ci historia! - wykrzyknęła zbulwersowana.

- Prawda? - odezwał się nieoczekiwanie za jej plecami dźwięczny męski głos. - Niesamowita historia! Ni stąd, ni zowąd spotykamy się w trójkę w jednym miejscu, zupełnie jakbyśmy się umówili.

Morea i Synnamon nie musiały nawet zerkać do tyłu, żeby przekonać się, kto to mówi. Obydwie natychmiast rozpoznały głos Connera Wellesa.

- Co ty tu robisz? - zirytowała się Synnamon. - Szpiegujesz nas?

- Z najwyższą niechęcią, ale skoro wy spiskujecie...

- My tylko jemy tutaj lunch - dyplomatycznie skłamała Synnamon.

- Ja również wybrałem się do „Maxie's” w tym celu.

- Conner z tupetem odplącił jej pięknym za nadobne. - Ale ponieważ stwierdziłem, że wszystkie stoliki są zajęte, a przy barze są jeszcze wolne miejsca, podszedłem i kogo widzę? Moją żonę i jej przyjaciółkę!

- Powiedz lepiej: była żoną i jej doradcę prawnego - wtrąciła się Morea. - Jesteście przecież z Synnamon w separacji, mieszkacie osobno...

- Już nie! - sprostował Conner. - I jeszcze nie jesteśmy po rozwodzie. A zresztą, jeśli chodzi o ten rozwód, to przecież... - Zawiesił na moment głos.

- Przecież termin i warunki już uzgodniliście, jak sobie przypominam - odezwała się z marsową miną Morea.

- Warunki całkowicie się zmieniły, prawda, kochanie?

Promiennie uśmiechnięty Conner Welles skierował te słowa do Synnamon, wprawiając ją we wściekłość.

- Daruj sobie! - syknęła.

- Nigdy - stwierdził dobitnie, z sekundy na sekundę poważniejąc.

- Przecież nie zmusisz mnie do małżeństwa.

- Nie muszę. Przecież małżeństwem jesteśmy już od prawie roku.

- Ale wkrótce się rozwiedziemy.  
- Nie sądzę.  
- Będę walczyła o ten rozwód.  
- W takim razie ja będę walczył o dziecko - odparł Conner.  
- Nie ośmielisz się!  
- Jestem śmielszy, niż myślisz. I bardzo uparty.  
- Człowieku, miejże sumienie! - jęknęła Synnamon, tracąc nagle cały dotychczasowy rezon. - To przecież miał być kulturalny...

- W zupełnie innej sytuacji - spokojnym, ale zdecydowanym tonem przerwał jej Conner. - Dlatego dobrze się zastanów, zanim uknujesz tu coś z Moreą i zrobisz jakiś następny krok. Bo to może być całkiem fałszywe posunięcie, zwróć uwagę! Zapłaczesz się niepotrzebnie w jakieś prawnicze kruczki... Tymczasem ja proponuję ci najprostsze wyjście z sytuacji: zamiast kulturalnego rozwodu - kulturalne małżeństwo. Alternatywą jest walka o dziecko, którą rozstrzygnie sąd. Na czyją korzyść?

Conner Welles umilkł, postawiwszy to pozbawione jednoznacznej odpowiedzi pytanie, po czym skłonił się z galanterią obu paniom i opuścił „Maxie's”. Najwyraźniej doszedł do wniosku, że konsumpcja lunchu przy barze mu nie odpowiada i musi poszukać lokalu, w którym byłyby wolne stoliki.

- Czy on naprawdę ma jakieś szanse, jeśliby doszło pomiędzy nami do walki o opiekę nad dzieckiem? - zapytała prawniczkę zdeprymowana Synnamon.

- Ma. I to całkiem spore - odezwała się grobowym głosem Morea.

- Więc co ja mam robić? Doradź mi!

Jedyną odpowiedzią Morei Landon było głębokie, ciężkie westchnienie.

- No, powiedz coś! - zniecierpliwiła się Synnamon.

- Niech pomyślę...

Prawniczka sięgnęła po szklanę i przymknąwszy oczy, wysączyła do końca swój sok pomidorowy. Następnie odstawiła szklanę, otworzyła oczy, spojrzała w skupieniu na Synnamon i stwierdziła:

- Sądzę, że masz dwa wyjścia. Pierwsze, to po prostu przyjąć warunki Connera i zrezygnować z rozwodu.

- Odpada!

- Pozwól, że przejdę w takim razie do drugiego. Otóż drugie wyjście - kontynuowała Morea - to stworzyć Connerowi takie warunki, żeby sam się zniechęcił do małżeństwa i dobrowolnie przystał na rozwód, oczywiście z pozostawieniem dziecka pod twoją opieką. Rozumiesz?

- Rozumiem - przytaknęła Synnamon. - Tylko nie mam pojęcia, jak to zrobić! - zafrasowała się.

- Ja też w tej chwili nie mam żadnego pomysłu - przyznała ze skruchą prawniczka. - Ale sama idea to też już jest coś, muszę ci powiedzieć! - zauważyła. - Nad szczegółową strategią pomyślimy później, a tymczasem zamówmy wreszcie coś do jedzenia!

Zadowolona z siebie Morea skonsumowała lunch z dużym apetytem, Synnamon ze znacznie mniejszym. Potem obiecały sobie wzajemnie, że będą myśleć nad strategią, a kiedy coś wymyślą, to się zdzwonią. I pożegnały się na parkingu przed „Maxie's Bar”.

Morea Landon pojechała do sądu, natomiast Synnamon Welles udała się do swojego dawnego biura w Sherwood Cosmetics, żeby się zorientować, czy Annie nie potrzebuje przypadkiem jakiejś pomocy.

- Oj, potrzebuję, pani Welles, nawet bardzo! - westchnęła świeżo upieczona kierowniczka biura obsługi klientów. - Niektórzy interesanci są wyjątkowo męczący, a już zwłaszcza jeden. Dzwoni tu dzisiaj od samego rana raz po raz i ciągle powtarza, że nie będzie rozmawiał ze mną, a tylko osobiście z panią lub panem Wellesem.

- A któż to taki?

- Jakiś Włoch. Nazywa się Luigi. Ja nie mam nawet pojęcia, czy to imię, czy nazwisko - z rozbijającą szczerością przyznała się Annie.

Synnamon uśmiechnęła się.

- Ani jedno, ani drugie - odpowiedziała. - Luigi to pseudonim. Ten facet naprawdę nazywa się Harold Henderson i pochodzi nie z Włoch, tylko z Nowego Jorku. Osiadł w Kolorado i stworzył tu sieć instytucji piękności, czyli właściwie... hm... upiększających sanatoriów.

- Takie sanatorium, to jakby połączenie pensjonatu z gabinetem kosmetycznym?

- Właśnie. Można tam spędzić weekend i wtedy to jest nawet przyjemne. Można tydzień i wtedy ma się już trochę dość ciągłego masowania, wklepywania i wygładzania. No, a po dwóch tygodniach bezwzględnie trzeba uciec, żeby nie dać się zagłaskać na śmierć.

Zafrasowana dotychczas Annie roześmiała się. Synnamon, zadowolona, że zdołała dodać swojej następczyni w pierwszym dniu pracy nieco otuchy, a przynajmniej zapewnić jej moment odprężenia, nieoczekiwanie zamyśliła się nad sensem wypowiedzianych przed chwilą żartobliwych słów.

Uciec, żeby nie dać się zagłaskać... Zostać zmuszonym do rejterady nie groźbą ani siłą, tylko nadskakiwaniem i szczebiotem...

Czy to przypadkiem nie jest ta „szczegółowa strategia”, nad którą zastanawialiśmy się z Moreą? - postawiła sobie w myślach pytanie.

I odpowiedziawszy na nie w duchu twierdząco, odezwała się do Annie z uśmiechem:

- Nie przejmuj się! Wpadnę zaraz do męża i go uprzedzę, że ten Henderson może mu marudzić.

- Naprawdę? Porozmawia pani z panem Wellesem? Czy to znaczy, że państwo... w związku z oczekiwaniem na dziecko... zrezygnowali...

- W tej chwili zamieszkaliśmy znów razem - wyjaśniła Synnamon. - A co będzie później, przyszłość pokaże - stwierdziła z zadumą. - No, to biegnę do męża, a potem już wracam do domu. Miłego dnia!

- Nawzajem! - odpowiedziała Annie. - I wszystkiego najlepszego na przyszłość, pani Welles.

## *ROZDZIAŁ SZÓSTY*

Synnamon bez zapowiedzi odwiedziła zaskoczonego cokolwiek Connera w jego dyrektorskim gabinecie i ignorując zniecierpliwienie męża oraz oczekujących w sekretariacie na audiencję interesantów, przez dobre pół godziny snuła opowieść o Luigim i jego instytucjach piękności.

Potem nagle wpadła na pewną genialną myśl, w związku z czym oświadczyła:

- Wróc dzisiaj po pracy jak najszybciej do domu, kochanie!

- Dlaczego? - podejrzliwym tonem spytał Conner.

- Bo pani Ogden zapowiedziała, że na kolację będzie twoje ulubione danie, pieczeń wołowa po burgundzku, taka obsmażana na oliwie i duszona w czerwonym winie, z pieczarkami, słoninką, pomidorami i cebulką - wyjaśniła Synnamon. - A ja zaprosiłam na dzisiejszy wieczór gości - dodała.

- Gości?

- Właściwie jednego...

- Kogo?

- Nicole Fox - z niewinną miną odpowiedziała Synnamon.

Oczywiście blefowała, ponieważ pomysł z zaproszeniem na kolację rudowłosej piękności przyszedł jej do głowy dopiero w trakcie rozmowy z mężem i w istocie nie miała nawet pojęcia, czy Nick w ogóle jest w domu i czy ewentualnie zechce przyjść. Zdecydowała się jednak zaryzykować.

Ryzyko okazało się opłacalne, bo Synnamon natychmiast zaczęła zbierać punkty w prowadzonej grze. Najpierw zaszokowała męża. A potem Nicole, do której zadzwoniła natychmiast po powrocie do domu, wyszukawszy numer w książce telefonicznej.

Atrakcyjna chemiczka w pierwszej chwili po prostu zaniemówiła po drugiej stronie linii. I w końcu wykrztusiła niepewnie:

- Pani Welles... naprawdę? To dla mnie bardzo miłe...

- Cała przyjemność po mojej stronie, droga Nick - protekcyjnym tonem odezwała się Synnamon. - A właściwie po naszej - uściśliła - bo przecież mąż też będzie bardzo rad. Możemy liczyć, że zdąży pani na siódmą?

- Ja... będę się bardzo starała, pani Welles... - odpowiedziała Nicole głosem wciąż z wrażenia zdławionym i lekko drżącym.

- Zatem do miłego zobaczenia - stwierdziła Synnamon i odłożyła słuchawkę. Nie miała czasu na dłuższą konwersację, ponieważ pozostało jej jeszcze coś niecoś do zrobienia.

Musiała nakryć do stołu w salonie. Musiała też zadbać o jakieś dodatki do do burgundzkiej pieczeni przygotowanej przed południem i pozostawionej w nagrzanym piekarniku przez nieobecną już o tej porze panią Ogden.

No i oczywiście musiała zrobić się na prawdziwe bóstwo, jak przystało na szczęśliwą młodą małżonkę i wpływową współwłaścicielkę kosmetycznego imperium!

Zdażyła ze wszystkim.

Nicole Fox również okazała się punktualna, ponieważ do drzwi apartamentu Wellesów zadzwoniła dokładnie z wybiciem godziny siódmej. Tylko Conner się spóźnił.

Czyżby chciał zrobić mi na złość? - zastanawiała się gorączkowo zakłopotana nieobecnością męża Synnamon, wpuszczając najpierw rudowłosą piękność do mieszkania, a potem wprowadzając ją do salonu.

- To Connera nie ma? - zdziwiła się Nicole.

- Zaraz powinien być, pewnie znów coś go w ostatniej chwili zatrzymało w firmie - wyjaśniła Synnamon, starając się o możliwie przekonujący ton głosu. - A może małego drinka? - zaproponowała.

- Poproszę.

- Szkocka z wodą sodową?

- Tak.

Synnamon przyrządziła drinka dla Nicole, a sobie naląła do koktajlowej szklanki tylko trochę wody, z odrobiną soku z cytryny. Z wiadomej przyczyny nie piła bowiem alkoholu i miewała częściej niż kiedykolwiek przedtem ochotę na coś kwaśnego.



- Proszę spocząć - zachęciła gościa.

Chemiczka usiadła w fotelu naprzeciwko okna i ujęła w dłoń podaną jej szklanekę. Nie piła jednak.

Zupełnie jakby się bała, że ją otruje pod nieobecność Connera, pomyślała złośliwie Synnamon.

I chcąc przerwać kłopotliwą ciszę, odezwała się:

- Ciekawy widok na góry mamy tu z okna, prawda? Nicole Fox spojrzała przelotnie w szeroką, panoramiczną tafłę okiennego szkła i mruknęła:

- Owszem...

Przez następnych dwadzieścia minut Synnamon próbowała nawiązać rozmowę, za każdym razem jednak, gdy wypowiadała jakieś zdanie, nieufna Nick rzucała pojedyncze słowo, i to możliwie jak najkrótsze. Nic więc dziwnego, że konwersacja się nie kleiła.

Na szczęście w końcu rozległ się zgrzyt klucza w zamku. O siódmej trzydzieści, z półgodzinnym opóźnieniem, zjawił się Conner.

Chyba jeszcze nigdy, od dnia ślubu, nie czekałam na niego z takim utęsknieniem, pomyślała Synnamon. I nawet nie próbowała się wykręcić od powitalnego małżeńskiego pocałunku!

Złożywszy go dość ostrożnie na jej policzku, Conner Welles uścisnął kordialnie rękę Nicole i powiedział:

- Witaj, Nick! Miło cię widzieć.

- Może zrobić ci drinka, kochanie? - odezwała się Synnamon, wstając z fotela.

- Dziękuję, nie - odpowiedział.

- W takim razie pogadajcie sobie chwilę, a ja podam do stołu.

Synnamon wyszła do kuchni i zaczęła się tam krzątać, równocześnie wsłuchując się w przytłumione odgłosy dobiegającej z salonu rozmowy. W towarzystwie Connera Nicole Fox wcale nie była taka milcząca, jak przed chwilą. Opowiadała coś z ożywieniem, śmiała się nawet...

Oj, zobaczymy, kto się zaśmieje ostatni! - pomyślała ze złością Synnamon i czym prędzej wkroczyła z półmiskiem do salonu.

- Cóż za wspaniały zapach! - skomplementował Conner wejście żony, a właściwie burgundzkiej pieczeni.

- Gdyby tak można było go odtworzyć syntetycznie w jakimś kuchennym odświeżaczu powietrza! - dodała z promiennym uśmiechem Nicole.

W ten sposób rozmowa zeszła na tematy chemiczne.

Cóż to oznaczało dla Synnamon? Że mogła tylko słuchać, podczas gdy Nick i Conner ze swadą dyskutowali, posługując się specjalistyczną terminologią i od czasu do czasu wypowiadając nawet, niczym tajemne zaklęcia albo zaszyfrowane wiadomości, jakieś wzory.

Wreszcie, trochę znudzona, a trochę zirytowana, postanowiła włączyć się do rozmowy.

- Zdecydowała się pani ostatecznie podjąć tę pracę w dziale badawczo-rozwojowym naszej firmy? - zapytała, dobitnie podkreślając przedostatnie słowo.

- Raczej tak - odpowiedziała Nicole.

- Dlaczego „raczej“?

- Bo obiecałam obecnemu pracodawcy, że nie odejdę, póki nie znajdzie kogoś na moje miejsce.

- A ile te poszukiwania mogą potrwać?

- Miesiąc powinien wystarczyć, pani Welles. Przecież chemików w Denver nie brakuje.

- Zwykłych może nie, ale wybitnych zawsze! - wtrącił Conner.

Synnamon rzuciła mu z ukosa lodowate spojrzenie. Irytował ją podziw męża dla Nicole Fox i dobra komitywa, w jakiej niewątpliwie pozostawał z rudowłosą chemiczką. Przede wszystkim zaś do prawdziwej pasji doprowadzał ją fakt, że gra, którą zdecydowała się narzucić Connerowi tego wieczora, szybko przestała się toczyć pod jej dyktando. Bo to przecież on, wedle obmyślonego przez nią scenariusza, miał się czuć nieswojo i z niecierpliwością wyczekiwać na zakończenie prośzonej kolacji we troje! Tymczasem on czuł się świetnie, a przynajmniej świetnie udawał doskonałe samopoczucie.

A ona? Cóż, ona starała się, jak mogła. Robiła wszystko, żeby wytrwać w roli.

Po daniu głównym, uprzejmie lecz stanowczo odrzuciwszy ofertę pomocy ze strony Nicole Fox, posprzątała ze stołu. A potem podała kawę i deser - sernik w polewie czekoladowej, domowego wypieku pani Ogden.

- Pani tak wszystko sama? - zdziwiła się chemiczka. - Nie macie państwo gosposi?

- Mamy tylko dochodzącą - wyjaśniła zgodnie z prawdą Synnamon. I dodała, posługując się dyplomatycznym kłamstwem: - Zbyt z mężem lubimy przebywać tylko we dwoje, żeby angażować kogoś na stałe i znosić całodobową obecność obcej osoby w naszym domu.

Synnamon szczerze pożałowała tych słów, kiedy Conner, już po odprowadzeniu Nicole na dół do samochodu, pojawił się w kuchni, gdzie zmywała filiżanki po kawie i talerzyki po serniku.

I z tupetem zaproponował:

- A może bym się tak przeniósł ze spaniem z pokoju gościnnego do ciebie?

Szklany talerzyk, który właśnie zamierzała wytrzeć do sucha, z wrażenia wysunął się jej z rąk, spadł na podłogę i roztrzaskał w drobny mak.

- Potłukłaś szkło, więc będziesz miała szczęście - rzucił z uśmiechem Conner. - Ale ja zaraz posprzątam - dodał pośpiesznie, widząc ponurą minę Synnamon i czując się winnym całego zdarzenia. Po czym natychmiast chwycił za szczotkę do zamywania i śmietniczkę.

Do sprawy spędzania nocy we wspólnej małżeńskiej sypialni już przezornie nie wrócił. Zaproponował natomiast Synnamon zaangażowanie na stałe kogoś do pomocy w domu.

- Nie powinnaś teraz robić różnych takich rzeczy, które się często w domu robi... no wiesz... schylać się, podnosić czegoś cięższego i tak dalej - stwierdził.

- Dlaczego? - obruszyła się. - Przecież z powodu ciąży nie stałam się nagle inwalidką. Jestem zupełnie zdrowa!

- Ale powinnaś się oszczędzać, więc przyjmijmy gosposię na stałe! - obstawał przy swoim Conner.

- Pani Ogden na to nie pójdzie, ma przecież w Denver własne mieszkanie...

- No, to sprowadźmy tu Hartfordów z Phoenix.

- Też coś! A gdzie ich pomieścimy?

- Jest przecież w naszym apartamencie specjalny służbowy pokój z łazienką - zauważył Conner.

- Odpada! - nie dawała się przekonać Synnamon. - Ta służbówka jest za ciasna dla dwu osób.

- Naprawdę tak uważasz?

- Oczywiście.

- No cóż, skoro małżeńska sypialnia też wydaje ci się za ciasna dla dwojga... - mruknął Conner ironicznym tonem.

Wrzucił do kuchennego kosza na śmieci zebrane szczątki deserowego talerzyka i odłożył na miejsce szczotkę i śmietniczkę.

- Idę już spać - oświadczył, kierując się ku drzwiom. - Życzę ci dobrej nocy.

- Dobranoc! - odpowiedziała Synnamon. - Ja też już zaraz się położę.

Nim opuściła kuchnię i zgasła w niej światło, raz jeszcze dokładnie, pedantycznie zamiotła podłogę. Obawiała się bowiem, że jeśli pani Ogden znajdzie nazajutrz rano bodaj okruszek potłuczonego szkła, to podobnie jak Conner zacznie rozprawiać o wróżbie na szczęście.

Na szczęście pani Ogden nie natknęła się na szkło, kiedy zjawiała się wczesnym rankiem w apartamencie Wellesów i zaczęła wykonywanie swoich codziennych obowiązków od przetrarcia do połysku zlewozmywaka oraz podłogi w kuchni. Zakończywszy te porządkowe czynności, podała Connerowi śniadanie. A kiedy wyszedł już do pracy, pozaglądała tu i ówdzie, i natychmiast dość mocno się nachmurzyła.

Nie rozpoznała się nawet w momencie, gdy do kuchni weszła zaspana jeszcze Synnamon. Na powitanie odmruknęła coś niewyraźnie, a podając chlebobawczyni poranną kawę, wypowiedziała z obowiązku tylko jedno słowo:

- Proszę!

Synnamon, szczerze zdziwiona, że gadatliwa zazwyczaj gosposia zachowuje się tak nietypowo, zapytała:

- A cóż to pani dzisiaj taka oficjalna?

- A niby jaka mam być, proszę pani? - pytaniem na pytanie odpowiedziała naburmuszona pani Ogden.

- No... taka, jak zawsze. Bardziej... hm... familiarna.

- Familiarna, powiada pani? - ożywiła się gospoia.

- Ja tam się w sprawy państwa rodziny nie wtrącam, ale... - zawahała się.

- Tak? - tonem zachęty rzuciła Synnamon, chcąc skłonić panią Ogden do zwierzeń i wyświecić w ten sposób przyczynę jej złego humoru.

Gospoia wzięła się dla odwagi pod boki.

- A czemuście to państwo nie zjedli wczoraj kolacji tak, jak zaplanowałam, we dwoje? - zapytała.

- A skąd pani wie, że nie? - zdziwiła się Synnamon.

- Poznałam po nakryciach, pani Welles. Ma się przecież to oko.

- Ale ja wszystko pozmywałam!

- I niepotrzebnie, pani Welles, bo to moja robota, więc trzeba było zostawić. I tak nie poukładała pani serwisu w kredensie, jak trzeba, stąd poznałam, że trzy nakrycia były ruszane. A jednego deserowego talerzyka to na dodatek brakuje.

- Potłukł mi się przy myciu, pani Ogden - przyznała się ze skruchą Synnamon.

- Dlatego mówię, że nie trzeba było zmywać. I nie trzeba było nikogo wczoraj zapraszać...

Dalsze wymówki niezadowolonej z postępowania państwa gospoia przerwał na szczęście dzwonek telefonu. Synnamon odebrała i usłyszała głos męża.

- Dzień dobry, kochanie - odezwał się Conner. - Przepraszam, że nie zaczekałem na ciebie ze śniadaniem, ale sama rozumiesz, obowiązki służbowe...

- Rozumiem - uspokoiła go, niepewna do końca, czy mówi poważnie, czy tylko sobie z niej pokpiwa. - Nie rób sobie wyrzutów.

- Cóż, liczę na to, że pod moją nieobecność pani Ogden dobrze się tobą opiekuje.

- Pani Ogden opiekuje się mną po prostu doskonale! - odpowiedziała Synnamon, zerkając kątem oka na krzątającą się po kuchni gospoie.

- Bo wiesz, ja właśnie rozmawiałem przez telefon z Hartfordem...

- Wielkie nieba, człowieku! - zirytowała się Synnamon. - Przecież tłumaczyłam ci już wczoraj, że dla Hartfordów nie ma tutaj...

- Ależ to wcale nie chodzi o tutaj, tylko o tam! - przerwał żonie Conner Welles.

- Hartford zadzwonił, że prochy hrabiny są już... hm... gotowe do pochówku.

- Mój Boże! - wykrzyknęła Synnamon.

- Czy coś się stało?

- Właściwie nic. Po prostu uzmysłowiłam sobie, że mojej matki chrzestnej już nie ma między nami, że już nigdy nie będę mogła z nią porozmawiać, poprosić jej o radę... To wszystko - zakończyła pośpiesznie Synnamon, czując, że głos więźnie jej w gardle, a do oczu napływają łzy.

- Bardzo mi przykro, kochanie...

- Mnie też! Ale muszę jak najszybciej wziąć się w garść i lecieć do Phoenix.

- Hartford też tak uważa - mruknął z lekkim przekąsem Conner.

- Wiadomo! Hrabina życzyła sobie przecież, żebym to ja rozsypała jej prochy w różanym ogrodzie - wyjaśniła Synnamon. - Tylko ja i nikt inny!

- Cóż, skoro musisz, to polecisz. Nie sama, ma się rozumieć, tylko ze mną. Na kiedy zarezerwować bilety na samolot?

## ***ROZDZIAŁ SIÓDMY***

Synnamon zaniemówiła na myśl o tym, że miałyby ponownie odbyć wraz z mężem podróż do Phoenix, dokładnie w to samo miejsce, gdzie miesiąc temu...

- Więc, na kiedy? - spytał ponownie Conner.

- Na kiedy... - powtórzyła machinalnie jego słowa. - Na kiedy, co?

- No, bilety! Bilety na samolot. Przecież mówimy o podróży do Phoenix.

- Ach, prawda! - Synnamon zdołała w końcu jakoś uporządkować rozbiegane myśli i skoncentrować się na rozmowie. - Więc, co do tej podróży, to ja nie wyobrażam sobie...

- Wiem! - wszedł jej w słowo Conner. - Nie wyobrażasz sobie, że ja mógłbym tam z tobą nie polecieć w obecnej sytuacji i dlatego musimy zamówić dwa bilety lotnicze, tak samo jak poprzednio. Masz może jakieś życzenia w kwestii terminu lotu?

- Nie! - odpowiedziała krótko Synnamon, uzmysłowiwszy sobie, że nie zdoła przekonać męża przez telefon, by pozwolił jej lecieć do Phoenix bez niego. Chciała więc, żeby przynajmniej możliwie szybko zostawił ją teraz w spokoju i po prostu się wyłączył.

- W takim razie ja sam zdecyduję, jak tylko zerknę w swój kalendarz - stwierdził Conner. - Trzymaj się dzielnie, kochanie. Cześć!

- Cześć - odpowiedziała stłumionym głosem i odłożyła słuchawkę.

Zacząła się intensywnie zastanawiać, jak wyperswadować Connerowi wspólny wyjazd i w ogóle jak dalej postępować w sytuacji, do której sama doprowadziła, ale która nagle zaczęła ją przerastać. Inaczej mówiąc - w sytuacji ucznia czarnoksiężnika, kogoś, kto nieopatrznie rozbudził tajemne moce, ale już nie potrafi pohamować ich działania. Synnamon poczuła się właśnie takim uczniem.

A kto miał być czarnoksiężnikiem?

Oczywiście Morea Landon, która podsunęła jej poroniony pomysł przeciwstawienia się małżeńskim zapędom Connera nie wprost, tylko przez pozorną zgodę na narzucone przez niego warunki.

Skoro to ona mnie wpakowała w ten galimatias, to niech mi teraz pomoże z niego wyjść! - doszła do wniosku i zadzwoniła do prawniczki.

- Słucham? - odezwała się Morea.

- Strategia mi się nie sprawdza - jęknęła Synnamon.

- Strategia czego?

- Zniechęcenia Connera do małżeństwa.

- Sama ją wymyśliłaś?

- Tak.

- Więc może dlatego...

- Jędza!

- A na czym ona polega?

- Ta strategia? - upewniła się Synnamon.

- Tak.

- Na zagłaskiwaniu. Conner okazał się całkiem odporny. Jak tylko zaczęłam udawać słodką idiotkę, gładko wszedł w rolę przeczulonego mężusia i ni stąd, ni zowąd wziął mnie pod stuprocentową kontrolę.

- Musisz się wyrwać!

- Tylko jak?

- Może przez sąd?

- Nie rozumiem...

- No, gdyby tak go oskarżyć, że ogranicza twoją wolność osobistą...

- Nikt nie uwierzy. On to robi tak jakoś sprytnie, delikatnie. Wygląda na to, że po prostu się o mnie troszczy, a tymczasem...

- Już wiem! - wykrzyknęła triumfalnie prawniczka. - Oskarżymy go o okrucieństwo moralne, o próbę manipulacji twoją osobowością!

- Morea, nie fantazuj! - Synnamon zorientowała się, że jej popędliwa adwokatka gotowa jest w ferworze sądowej walki na wszystko, nawet na ośmieszenie samej siebie i swojej klientki.

- Ja fantazuję? Przecież to ty wymyśliłaś, że będziesz udawać...

- Ale ty mi tę myśl podsunęłaś!

- Ja ci mówiłam tylko o zniechęcaniu.

- Ale ja z twojej sugestii wysnułam wniosek...

- Może błędny?

- Cóż, może i tak - zreflektowała się Synnamon. - Ale co teraz?

- Wiesz, czternastego lutego ma się odbyć w Denver wielki walentynkowy Bal Zakochanych, z dochodem na cele charytatywne, a konkretnie na jakąś fundację kardiologiczną. Ja nawet rozprawdzam bilety wstępu, po tysiąc dolarów od osoby...

- Nie rozumiem, po co mi to mówisz!

- Przyślę ci dwa bilety. Zamiast na sali sądowej, spotkacie się z Connerem w walentynki na sali balowej, zamiast rozvodu będą tańce, czułości i świętowanie pierwszej rocznicy ślubu.

- Ty chyba zwariowałaś! - wykrzyknęła w słuchawkę rozłoszczona Synnamon.

- Nawet się nie waż przysłać mi tych biletów!



- To prześlę je Connerowi - z typowo adwokacką przewrotnością zmieniła front Morea Landon. - Niech wybuli te skromne dwa tysiące dolców na szczytny cel.

- Zdobyłabyś się na to?

- Dla dobrej sprawy? Czemu nie!

- To już lepiej prześlij mnie te bilety. Zapłacę dwa tysiące.

- I co?

- I wrzucę twoje bilety na samo dno mojej najgłębszej szuflady w komodzie. I nie znajdę ich wcześniej, jak piętnastego lutego - oświadczyła Synnamon.

- Nawet sprytnie pomyślane, jak na słodką idiotkę! - stwierdziła nie bez podziwu Morea.

- Przecież ja nią nie jestem, do licha, tylko udaję!

- Uważaj, żebyś za mocno nie wczuła się w rolę.

- Serdeczne dzięki za dobrą radę. Cześć.

- Już kończysz?

- Cóż, dłużej przecież nie śmiem zabierać ci cennego czasu...

- Bezcennego!

- Więc kończę tym bardziej. Zwłaszcza że pani Ogden daje mi jakieś tajemnicze znaki.

- No to cześć! Wysyłam ci bilety.

- Niech w drodze zginą, przepadną...

W tym momencie, na równi żartobliwej, co złośliwej wymiany zdań Morea Landon odłożyła słuchawkę. Synnamon zatem nie pozostało nic innego do zrobienia, jak tylko odłożyć swoją i zapytać gosposię, dlaczego robi do niej dziwne, znaczące miny.

- Bo ma pani gościa, z pięknymi kwiatami - wyjaśniła pani Ogden, puszczając perskie oko. - Wprowadziłam właśnie do salonu.

- I dlatego się pani tak komicznie wykrzywia? Gosposia podeszła bliżej, nachyliła się i mocno zniżyła głos.

- No, bo to jakaś ruda, pani Welles - wyszeptała. - A każdy rudzielec, to wiadomo, jest fałszywy i chytry, jak ten lis. A ta jeszcze nazywa się Fox!\* Trzeba uważać...

\* Fox (jęz. ang.) - lis (przyp. tłum.).

A może faktycznie trzeba? - pomyślała z mimowolnym niepokojem Synnamon. Po czym, wzięwszy głęboki oddech, skierowała się do salonu.

Zastała tam Nicole, z bukietem w ręku.

- Ja chciałam tylko podziękować za wczorajszy wieczór, pani Welles - odezwała się chemiczka. - Nie będę przeszkadzać...

- Nie przeszkadza mi pani. Może kawy?

- Ależ proszę nie robić sobie kłopotu, ja naprawdę już sobie pójdę. Chciałam tylko... te kwiaty...

- Nie musiała się pani fatygować osobiście.

- A jednak czułam się zobowiązana. Zwłaszcza że ten wczorajszy wieczór otworzył mi oczy na coś, z czego nie zdawałam sobie do tej pory sprawy.

- A mianowicie?

- Pani i Conner... - wykrztusiła Nicole Fox drżącym ze zdenerwowania głosem.

- Państwo naprawdę idealnie pasujecie do siebie i dlatego... Ja już naprawdę sobie pójdę, do widzenia!

- Do widzenia - odpowiedziała beznamiętnym tonem Synnamon.

Nie zatrzymywała Nicole. Nie odprowadziła jej nawet do przedpokoju. Zbyt była zaszokowana jej nagłą wizytą. I zbyt zaskoczona faktem, że strategia jednak zaczynała się sprawdzać.

Gram chyba nieźle - doszła do wniosku - skoro Nick, obdarzona ponadprzeciętnym ilorazem chemicznej inteligencji, dała się nabrać i kapituluje. Tak, gram nieźle dobrą żonę, oboje z Connerem gramy nieźle dobre małżeństwo.

Chyba że my rzeczywiście...

- Nie! - głośno i dobitnie stwierdziła Synnamon, odrzucając niebezpieczną, przewrotną myśl, zanim jeszcze zdążyła ją do końca sformułować.

Conner wrócił do domu o szóstej. Zasiadli z Synnamon do kolacji, na którą pani Ogden przygotowała im piezzonego kurczaka i odezwali się do siebie równocześnie:

- Synnamon...

- Conner...

- Tak?

- Tak?

- Kto mówi pierwszy?

- Mów ty - zdecydowała Synnamon, ponieważ w gruncie rzeczy nie miała pojęcia, jak przeforsować sprawę wyjazdu do Phoenix bez Connera.

- Rozmawiałem dziś telefonicznie z Luigim - odezwał się Conner.

- I dogadałeś się z nim?

- Nie do końca. Musimy się spotkać w najbliższy weekend i jeszcze trochę pokonferować.

- Aha, więc kiedy ja w ten weekend polecę do Phoenix - Synnamon starała się mówić obojętnym tonem, żeby broń Boże nie pokazać mężowi, jak bardzo cieszy się z interwencji losu, który uniemożliwił mu asystowanie jej w podróży - to wtedy ty...

- Skądże znowu, kochanie! - zaprzeczył szybko Conner. - Polecimy razem, tak jak planowaliśmy.

- No, ale przecież ty musisz się spotkać z tym Luigim! - przypomniała Synnamon, zachowując jeszcze jakieś resztki nadziei.

- No właśnie, świetnie się składa - stwierdził z szerokim uśmiechem Conner - ponieważ on spędza tegoroczną zimę w swojej willi w Scottsdale, tuż koło Phoenix. Polecimy razem, Synnamon, i upieczemy dwie pieczenie przy jednym ogniu, jeśli się można tak się wyrazić. Dwa w jednym, jak to się mówi w naszej branży kosmetycznej!

Przygotowania do wyjazdu przebiegły bez zakłóceń, piątkowy lot do Phoenix również.

Do willi hrabiny Wellesowie dotarli wynajętym osobowym samochodem, który Conner sam prowadził, a nie limuzyną z szoferem w liberii.

Poczcivi Hartfordowie powitali ich z radością, jednak Synnamon nie bardzo wychodziło udawanie, że cieszy się z przyjazdu.

Nie mogła się pogodzić z obecnością Connera, to jedno. Ale przede wszystkim nie mogła się pogodzić z nieodwracalnym faktem nieobecności matki chrzestnej w domu, w którym wszystko kojarzyło się z jej osobą.

Ozdobna kolumnada, którą uzdolniona plastycznie hrabina sama naszkicowała projektantowi. Antyczny empirowy fotel w salonie, na którym hrabina często siadywała.

Wspaniale pachnące ciasto wypieku pani Hartford, które hrabina zawsze chwaliła...

Spostrzegłszy posępną minę żony, Conner szepnął jej:

- Nie martw się, Synnamon. Ten pierwszy przyjazd tutaj po śmierci hrabiny jest najtrudniejszy. Potem już będzie łatwiej.

- Tak się mówi...

- A nie pamiętasz już, jak było z apartamentem twojego ojca?

- Z ojcem, to co innego - mruknęła Synnamon, wzruszając ramionami.

Z ojcem niewiele miałam wspólnego, poza nazwiskiem, dodała już w myślach. A hrabina zastępowała mi matkę, siostrę, przyjaciółkę, nauczycielkę... Hrabina dawała mi duchowe oparcie, a ojciec tylko wygodne życie!

Rozdrażniona, zostawiła męża w salonie i zaczęła się samotnie przechadzać po domu.

Był zadbany, idealnie wysprzątny, ale niestety martwy. Jak muzeum. Albo jak mauzoleum. Nic się w nim nie zmieniło od chwili śmierci hrabiny, każdy sprzęt, każdy przedmiot znajdował się dokładnie tam, gdzie był wówczas. Czyli na swoim miejscu. Tylko róż brakowało w wazonach. Widocznie pani Hartford przestała układać je w bukiety, skoro nie było już dla kogo.

Synnamon rozplakała się w samotności.

I chociaż naprawdę bardzo się starała, nie zdołała pohamować łez także wówczas, kiedy natknęła się w holu na Connera, który najwidoczniej zaniepokoił się i zaczął jej poszukiwać. Szepnęła tylko:

- Przepraszam, że tak się rozklejam.

W milczeniu podał jej śnieżnobiałą chusteczkę i wrócili do salonu. Kiedy po pewnym czasie Synnamon już się nieco uspokoiła, Conner zapytał:

- Co najbardziej cię tu przygnębia, poza nieobecnością hrabiny?
- Brak róż - wykrztusiła.
- Wolałabyś, żeby były?
- Wolałabym, żeby hrabina była z nami!
- Może jej duch gdzieś tu krąży?
- Kto wie? - odezwała się w zadumie Synnamon. - Skoro nie wypełniłam jeszcze do końca jej woli i nie rozsypałam jej prochów w ogrodzie różanym...
- Zrobisz to jutro - stwierdził Conner - a dzisiaj spotkamy się z Luigim w jego posiadłości w Scottsdale, tak jak to sobie zaplanowaliśmy wcześniej.
- Ty zaplanowałeś!
- Jako małżeństwo jesteśmy jednością.
- Tylko do czternastego lutego!
- Ależ, Synnamon...

Małżeńska wymiana zdań przeszłaby niechybnie w burzliwą małżeńską sprzeczkę, gdyby nie Hartford, który zjawił się z kawą.

- I jak tu się teraz żyje? - spytał go Conner.
- Smutno i nudno, proszę pana - odpowiedział kamerdyner, rozlewając aromatyczny napój do dwu filiżanek. - Czujemy się z żoną zupełnie niepotrzebni. Bardzo przepraszam za śmiałość, ale może tam u państwa w Denver znalazłoby się dla nas coś więcej do roboty, poza odkurzaniem pustego domu?

- W tej chwili na pewno nie, Hartford! - odpowiedziała Synnamon, z pewnością bardziej oschle i stanowczo, niż należało. - Mieszkanie mamy nieduże, z pojedynczym służbowym pokojem, pani Ogden przychodzi do nas na kilka godzin dziennie...

- I na razie to istotnie wystarczy - wszedł żonie w słowo Conner. - Ale za kilka miesięcy, gdy przyjdzie na świat dziecko...

- Dziecko! - wykrzyknął Hartford, zupełnie zapominając na moment o profesjonalnej powściągliwości. - Cóż za wspaniała wiadomość! Muszę natychmiast przekazać ją mojej żonie!

Rozpromieniony kamerdyner wybiegł z salonu, zostawiając państwa samych.

- Musiałeś mu powiedzieć? - mruknęła naburmuszona Synnamon.

- Pewnie! Jaki sens utrzymywać w sekrecie coś, co wcześniej czy później i tak się wyda?

- A jeśli ja bym wołała, żeby wydało się raczej później niż wcześniej? Nie pomyślałeś o tym? Hartfordowie to przecież obcy ludzie.

- Myślałem, że są ci bliscy.

- Niby tak, ale...

Synnamon nie dokończyła, ponieważ do salonu wpadła pani Hartford, wołając już od progu:

- Dzieciątko! Dzieciąteczko! Kochana pani Welles! Jaka cudowna wiadomość! Będzie państwu potrzebny duży dom i ktoś do pomocy poza panią Ogden, my z mężem chętnie się przeniesiemy do Denver, bo tutaj, po odejściu pani hrabiny, żyje się smutno i nudno, jak w muzeum...

- Albo jak w mauzoleum - dodał Hartford, który przyszedł do salonu w ślad za małżonką, niosąc na tacy ciasto.

Synnamon zupełnie nie miała apetytu na poczęstunek i była mocno zde gustowana zamieszaniami, jakie wytworzyło się wokół niej. Dlatego odezwała się:

- A może ja raczej pójdę się położyć na pół godzinki, zamiast na siłę budzić się kawą?

- O tak! Koniecznie proszę się położyć - zawyrokowała pani Hartford. - Wypoczynek jest teraz pani niezbędny. Proszę przejść do gościnnego pokoju, tam już wszystko jest dla państwa przygotowane, podobnie jak poprzednim razem.

Poprzednim razem... - powtórzyła w myślach słowa gospodyni Synnamon, zamykając za sobą drzwi pokoju, w którym wydarzyło się wówczas coś, co z całą pewnością nie powinno było się wydarzyć. Poprzednim razem popełniłam jedno z dwu największych głupstw w moim życiu. Tym pierwszym był ślub z Connerem, oczywiście...

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Rezydencja Luigiego w Scottsdale okazała się dość ryzykownym połączeniem neorenesansowej willi z... orientalnym meczetem. Architektoniczny eksperyment polegał z grubsza biorąc na tym, że korpus budynku przyozdabiał strzelisty minaret, wyrastający wysoko w górę dokładnie pośrodku kopulastego dachu.

- Do licha! - parsknął śmiechem Conner, jeszcze siedząc za kierownicą. - To przecież wygląda jak kwiatek u kozucha!

Rozbawiony zaparkował wóz, wysiadł i otworzył żonie drzwi od strony fotela przeznaczonego dla pasażera.

Synnamon stanęła przy samochodzie i krytycznym okiem przyjrzała się budowli.

- Połączenie faktycznie dość szokujące - stwierdziła. - A czy wiesz, co pewien nuworysz odpowiedział kiedyś architektowi na pytanie, w jakim stylu ma być zaprojektowana jego rezydencja?

- Nie mam pojęcia.

- Powiedział: mnie stać na wszystkie style, więc łącz pan ze sobą, co się da.

- A to dobre! - szczerze ubawił się Conner. - Doskonała anegdota! Ale w chemii taki numer by nie przeszedł. Jakby ktoś zaczął łączyć w laboratorium wszystko ze wszystkim, to albo nic by nie uzyskał...

- Albo? - zaciekała się Synnamon.

- ...albo wyleciałby w powietrze - dokończył.

- Też dobre! - przyznała. - Ale Luigi nie wyleci, chociaż ta spiczasta wieżyczka sterczy w niebo ze środka jego dachu jak jakaś kosmiczna rakieta z wyrzutni na Przylądku Canaveral.

- Luigi jest niezniszczalny - stwierdził ironicznym tonem Conner. - Nie sposób się go pozbyć.

- I dlatego trzeba się z nim dogadać?

- Właśnie. A żeby się dogadać, trzeba teraz wejść do środka tego urodzinowego tortu z jedną świeczką!

Conner Welles, rozbawiony jak mała kiedyś, chwycił żonę za rękę i pociągnął w kierunku wejścia. Do ozdobnych mahoniowych drzwi, ujętych w fantazyjną futrynę, podbiegli niczym para rozdokazywanych nastolatków, a nie poważnych współwłaścicieli fabryki kosmetyków.

Synnamon ostrożnie zadzwoniła. Conner, nie czekając, aż ktoś od wewnątrz otworzy, śmiało nacisnął klamkę...

I tak znaleźli się oboje w przestronnym pomieszczeniu, pełniącym w domu Luigiego rolę holu.

Hol ów tym się odróżniał od wielu innych, a może i od wszystkich innych w Ameryce, że całe ściany, od podłogi do sufitu, miał pokryte złotem. To znaczy złocistą, metaliczną tapetę, połyskującą równie mocno, jak olbrzymi medalion w kształcie słońca, jaki nosił na szyi Luigi, który wyszedł osobiście na powitanie gości.

Był ubrany w długą do ziemi szatę, przypominającą kostiumy arabskich szejków ze starych hollywoodzkich filmów. Ale poza tym malowniczym strojem wyglądał całkiem typowo, jak przeciętny podstarzały Amerykanin z grubym portfelem, którego stać na usługi renomowanych chirurgów plastycznych, dobre protezy zębowe i kosztowne implanty włosów, maskujące łysinę.

Prezentował się zatem tak doskonale, że aż fatalnie i tak naturalnie, że aż sztucznie. Jak, nie przymierzając, woskowa figura z galerii Madame Tussaud.

Podobieństwo starannie zakonserwowanego właściciela sieci instytutów piękności do figury woskowej było tak sugestywne, że Synnamon nawet się trochę zdziwiła, kiedy Luigi przemówił do niej ludzkim, choć sztucznie modulowanym, głosem Harolda Hendersona:

- Cudownie wyglądasz, moja droga! Twój świętej pamięci ojciec ani trochę nie przesadził, gdy opowiadał mi, że wyrosłaś na prawdziwą piękność!

- To dzięki stosowaniu od najmłodszych lat fenomenalnych kosmetyków Sherwood - zażartowała.

Żartując w ten sposób, Synnamon postąpiła bardzo słusznie, bowiem nie tylko zareklamowała wyroby firmy, ale również stworzyła sobie i Connerowi pretekst do śmiechu. Mogli się wyśmiać jawnie i swobodnie, zamiast w męczący sposób tłumić



chichot, do którego i tak doprowadziłyby ich niechybnie komiczna postać Luigiego i pretensjonalne wnętrze jego rezydencji.

Gospodarz śmiał się oczywiście razem z nimi. A potem stwierdził z afektacją w głosie:

- Jestem autentycznie szczęśliwy, moi drodzy, że zdecydowaliście się poświęcić weekend na odwiedzin w moich skromnych progach!

Conner Welles, jak zawsze powściągliwy i konkretny, sprowadził rozanielonego „fałszywego Włocha” z nieba na ziemię.

- Mamy akurat w Phoenix do załatwienia pewne sprawy rodzinne - stwierdził.

- Ach, tak! - westchnął Luigi z wyraźnie słyszalną nutką rozczarowania w głosie. - Cóż, w każdym razie wejdźcie, proszę was dalej.

Przyjąwszy dumną pozę mistrza magicznej ceremonii, Luigi wprowadził swoich gości do salonu.

Złoty hol mógł się wydawać przy tym pomieszczeniu zupełnie skromny, wręcz ascetyczny. Salon miał bowiem zwierciadlany kopulasty sufit i ściany pokryte opalizującymi brokatowymi draperiami. W związku z tym całe jego wnętrze zdawało się nieustannie drgać, pulsować w świetle dostarczonym przez ogromny kryształowy kandelabr.

- Nie wiem, jak wy, ale ja wolę, oświetlenie sztuczne od naturalnego - odezwał się Luigi, uprzedzając ewentualne pytania o brak okien. - Jest bardziej nastrojowe i pozwala się lepiej reżyserować.

Synnamon miała wrażenie, że nie tylko światło, ale całe spotkanie zostało starannie wyreżyserowane.

W salonie, ledwie się tam znaleźli, pojawiła się nie wiadomo skąd, zupełnie jakby przeniknęła przez ścianę, urodziwa dziewczyna w kostiumie filmowej odaliski i podała gościom na złocistej tacy koktajl, którego nietypowa barwa budziła w równym stopniu ciekawość i nieufność.

Conner, z właściwym każdemu autentycznemu chemikowi eksperymentatorskim zacięciem, sięgnął po szklanę. Natomiast Synnamon podziękowała za napój i poprosiła o wodę.

- Czy masz na myśli zwykłą wodę, moja droga? - upewnił się zdziwiony jej mało wyrafinowanymi wymaganiami Luigi.

- Najzwyklejszą - odpowiedziała. - Ewentualnie z plasterkiem cytryny.

Luigi sięgnął po swój koktajl i skinął ręką na dziewczynę, która niemal natychmiast zniknęła w fałdach draperii, udając się po wodę z cytryną dla Synnamon.

- Żona jest w odmiennym stanie - wyjaśnił Conner, kiedy zostali w salonie tylko we troje. - Dlatego nie pija niczego z alkoholem.

- Ach, tak! - wykrzyknął z egzaltacją Luigi, unosząc ręce w pompatycznym teatralnym geście. - Błogosławiony stan oczekiwania na nowe życie! Czyż może być coś wspanialszego dla tych, którzy to nowe życie wykreowali?

Conner uśmiechnął się szeroko w odpowiedzi, a Synnamon lekko skrzywiła usta, co przy sporej dozie dobrej woli i wyobraźni też można było uznać za uśmiech.

Luigi tak właśnie chyba potraktował jej grymas, bo nie spuszczał ani trochę z emfatycznego tonu, oświadczył:

- Jako wieloletni bliski przyjaciel rodziny Sherwoodów jestem nadzwyczaj rad, że imperium kosmetyczne, stworzone przez świętej pamięci Silasa, będzie miało spadkobiercę nie tylko w waszym, ale również w kolejnym pokoleniu, pokoleniu wnuków!

- Amen - rzuciła kpiąco Synnamon.

Wysłuchany wyłącznie w melodię własnego głosu, Luigi zupełnie nie zwrócił uwagi na tę kpinę i powtórzył z kaznodziejską powagą:

- Amen. Nic dodać, nic ująć. Otóż to!

Po czym zagadał gości na amen, snując opowieść o nowych surówkach i koktajlach piękności, które skomponował i wypróbował na sobie, żeby w wiosennym sezonie serwować je ze spokojnym sumieniem, jako stuprocentowo skuteczne, klientkom swoich instytutów.

- Stworzyłem też ostatnio coś zupełnie specjalnego, moi drodzy - dodał na koniec przydługiego wywodu, zostawiając najbardziej smakowitą wiadomość niejako na deser po ciężkostrawnym obiedzie.

- A mianowicie? - zainteresował się Conner.

- Silikonową maseczkę do relaksującego masażu twarzy bez demakijażu - oznajmił podniosłym tonem triumfatora. - Coś dla zapracowanych od rana do wieczora kobiet biznesu. Zaprezentuję wam prototyp, moi drodzy, ale wcześniej, jeżeli pozwolicie, poczęstuję was kilkoma najbardziej oryginalnymi sałatkami z mojego najnowszego zestawu.

Przeszli w trójkę z salonu do jadalni, stylizowanej na wnętrze grotty z bajki o Ali Babie i czterdziestu rozbójnikach.

- To jest właśnie mój sezam - oznajmił z namaszczeniem Luigi. - Sezam urody, której niewyczerpanym źródłem są potrawy, jakie tutaj spożywam i serwuję najbliższym przyjaciółom.

Zasiedli za stołem. Gospodarz trzykrotnie klasnął w dłonie. Niemal natychmiast zjawiała się nadobna odaliska, tym razem z zestawem mieszanek i papek, zróżnicowanych w kolorze i konsystencji.

Luigi zachwalał wszystko z jednakim entuzjazmem, a Conner Welles z zaciekawieniem kosztował jedną kompozycję po drugiej.

Natomiast Synnamon tylko udawała, że cokolwiek konsumuje. Nie mogła się uwolnić od przeświadczenia, że kulinarne wytwory ekscentrycznego kapłana urody należałoby na wszelki wypadek poddać analizie w dobrym laboratorium chemicznym. Obawiała się bowiem zaszkodzić dziecku, a siebie doprowadzić do rozstroju żołądka.

- Moja droga! - zwrócił się do niej z lekkim wyrzutem Luigi. - Skoro, jak widzę, nie delectujesz się moimi potrawami, to musisz przynajmniej poznać dobroczynne działanie maseczki do masażu. Zapraszam na prezentację prototypu!

W salonie, dokąd po posiłku wrócili, stał już luksusowy fotel kosmetyczny, którego tam przedtem nie było.

Na sygnał Luigiego zjawiała się odaliska i podała mu na srebrnej tacy coś, co z wyglądu przypominało maskę karnawałową.

- Zechciej zająć honorowe miejsce, moja droga - zwrócił się do Synnamon, wskazując jej fotel.

Usiadła trochę niepewnie, a on nałożył jej maseczkę na twarz i zachęcił Connera:

- Zechciej zrobić przyjemność uroczej małżonce, mój drogi, i pomasuj ją osobiście.

Speszony Conner wykrztusił:

- Nie wiem... czy umiem...

- To urządzenie zostało skonstruowane tak genialnie - pochwalił się Luigi - że nie wymaga do obsługi wykwalifikowanego masażysty. Masując, wystarczy pójść za głosem serca albo zmysłów, jak kto woli...

Synnamon nie była pewna, czy mąż masuje wedle wskazówek głosu serca, zmysłów czy może po prostu... rozsądku. Tak czy inaczej, było jej w miarę przyjemnie, chociażby z tego powodu, że mogła darować sobie konwersację i ograniczyć się wyłącznie do słuchania.

- Czy ma pan już producenta tego urządzenia? - postawił pytanie Conner.

- Na razie jeszcze nie, mój drogi - wdzięcznie modulowanym głosem odpowiedział Luigi.

- Więc może Sherwood Cosmetics?

- Któż to wie...

- A któż miałby wiedzieć, jeśli nie sam twórca? - zniecierpliwiał się Conner.

- Żeby to wiedzieć, musiałbym wiedzieć trochę więcej - enigmatycznie stwierdził Luigi.

- Co pana interesuje, na przykład?

- Na przykład ten wypadek ze skażeniem waszej linii produkcyjnej w Fargo.

- Takie wypadki zdarzają się we wszystkich fabrykach kosmetycznych.

- Doprawdy? Jakoś nie słyhać...

- Bo takie sprawy z reguły się wycisza.

- Dlaczego więc Sherwood Cosmetics rozgłasza swoją wpadkę wszem i wobec, wydając oświadczenie? Czy to znaczy, że świadomie działacie na własną niekorzyść?

- Nie. To znaczy, że szanujemy zdrowie klientów bardziej niż własny wizerunek.

- Mój świętej pamięci przyjaciel, Silas Sherwood, pracował na ten wizerunek przez całe swoje życie - zauważył Luigi.

- To prawda - zgodził się z nim Conner. - Jednak prawdą jest również to - podkreślił - że Silas Sherwood powierzył właśnie mnie dzieło swojego życia. I własną córkę. Więc chyba mi zaufał, nie sądzi pan?

- Cóż, mój drogi... - westchnął Luigi. - Zaufanie zaufaniem, a fakty faktami.

Synnamon odchodzi z firmy...

- Czyżby?

- Jej obowiązki w biurze obsługi klientów pełni już ktoś inny!

- To prawda. Synnamon ma w tej chwili inne obowiązki do spełnienia, więc nie może się przemieszczać w pracy. Ale przecież, kiedy nastąpi już szczęśliwe rozwiązanie, może wrócić...

- Na dawne stanowisko? - zainteresował się Luigi.

- A czy to miałyby sens? - pytaniem na pytanie odpowiedział Conner. - Jest przecież współwłaścicielką firmy, więc powinna chyba znaczyć w niej więcej niż zwykły kierownik działu.

- To może przejęłaby dyrekcję? - pół żartem, pół serio rzucił Luigi.

- Kto wie? Ja mógłbym wtedy wziąć urlop wychowawczy...

Luigi roześmiał się i stwierdził:

- Gdyby po tym urlopie miał pan problemy ze znalezieniem pracy, mój drogi, to ja od ręki zatrudniam pana w moim instytucie piękności jako masażystę. Klientki będą zachwycone!

- Żeby się mogły zachwycać, trzeba najpierw wyprodukować to urządzenie w więcej niż jednym egzemplarzu - zauważył Conner.

- Racja!

- A więc...

- A więc macie u mnie zlecenie na produkcję! - zdecydował się Luigi. -

Uściśnijmy sobie dłonie.

- Z miłą chęcią.

- Możemy nawet wypić za powodzenie wspólnego przedsięwzięcia - dodał Luigi. - Zaraz poproszę moją asystentkę o następne dwa koktajle. A dla przyszłej mamy o drugą szklanek wody, oczywiście...

- Myślisz, że naprawdę zrobiliśmy dobry interes? - zapytała męża Synnamon, kiedy po pożegnaniu się z Luigim zajęli już miejsca w samochodzie i ruszyli ze Scottsdale w kierunku Phoenix.

- Mam wrażenie, że tak - odpowiedział.

- I myślisz, że ja naprawdę mogłabym wrócić w przyszłości do Sherwood Cosmetics na jakieś bardziej... hm... strategiczne stanowisko?

- Mam wrażenie, że tak - powtórzył Conner. - Nawet na dyrektorskie, szczególnie po tym pokazie poświęcenia dla firmy, jaki dziś dałaś, godząc się wypróbować ten prototyp.

- Masaż był nawet przyjemny, więc chyba ty poświęciłaś się bardziej.

- Masując cię?

- Nie. Pałaszując te wszystkie specjały Luigiego.

- Fakt, te sałatki były niesmaczne i mało treściwe - przyznał Conner. - Jeśli nawet co nieco po nich wypiękniałem, to ani trochę się nimi nie najadłem.

- Ja też.

- Wiadomo. Skoro nic nie jadłaś...

- Zjadłabym coś teraz.

- Naprawdę? - ucieszył się Conner. - To świetnie się składa, bo ja też. Może poszukamy jakiejś restauracji?

- Proponuję „Emilio's”.

- To jakiś miły lokal?

- To prawdziwa nora, szczerze mówiąc - odpowiedziała ze śmiechem Synnamon.

- Więc dlaczego...

- Bo w „Emilio's” serwują najlepsze na świecie hamburgery! Hrabina je po prostu uwielbiała.

- Hrabina odwiedzała takie marne lokale? - zdziwił się Conner.

- Uważała, że obecność prawdziwej damy uszlachetnia nawet podłe miejsce, to po pierwsze - wyjaśniła Synnamon. - A po drugie, dla naprawdę dobrego hamburgera zawsze była gotowa do poświęceń. Tak, jak ty dla dobrego interesu...

- No i jak stoją nasze interesy? - spytała Morea Landon, zerkając na Synnamon znad ozdobnej karty dań restauracji „Panorama”.

- A mamy jakieś wspólne? Prawniczka zamyśliła się.

- Czy ja wiem? - mruknęła po chwili. - Kiedyś miałyśmy, ale teraz, odkąd przykładowie zesłała się z mężem...

- To przecież tylko strategia, przyjęta dla zmylenia przeciwnika.

- Jesteś pewna?

Synnamon odpowiedziała milczeniem. Istotnie, nie była pewna.

Wyjazd do Phoenix, który uważała za zło konieczne, przebiegł bezkonfliktowo. W weekendowej podróży pomiędzy nią a mężem nawiązało się coś w rodzaju przyjaznej komitywy, która bynajmniej nie osłabła w ciągu następnych dni.

- Zmarnowałaś dwa cenne tygodnie, jakie minęły od waszego powrotu z Phoenix - cierpko zauważyła Morea.

- Tak jakoś wyszło...

- A teraz chcesz zmarnować trzeci, chociaż Conner poleciał sobie do Azji i nie siedzi ci na karku?

- Conner poleciał negocjować z azjatyckimi papiernikami i poligrafami sprawę produkcji opakowań dla Sherwood Cosmetics.

- Pięknie! A ty przyjechałaś do „Panoramy” porozmawiać ze mną w sprawie waszego rozwodu, prawda?

- No, zgadza się...

- I co masz mi do powiedzenia?

Przyciskana do muru przez bezpardonową prawniczkę, Synnamon wzięła głęboki oddech.

- Ten termin... w same walentynki... odpada - wykrztusiła. - Trzeba poczekać.

- Na co?

- Spytaj raczej, na kogo.

- Na kogo więc?

- Na dziecko! Nie chcę niczego zmieniać w moim życiu, dopóki się nie urodzi.

- A potem?

- Potem zobaczę, jeśli pozwolisz.

- W takim razie ja nie wyrzucę jeszcze twojej teczki z mojego archiwum, jeśli pozwolisz - odezwała się kpiącym tonem Morea Landon. - Przeniosę ją tylko z segregatora spraw bieżących do segregatora spraw odroczonej.

- Będę ci zobowiązana.

- A ja tobie, jeśli się zgodzisz, żebym zafundowała ci lunch.

- Dlaczego masz mi fundować? - bardzo zdziwiła się Synnamon.

- Na pożegnanie! Wątpię, żebyśmy miały się w najbliższym czasie spotykać, skoro nie potrzebujesz już moich porad - stwierdziła z melancholią Morea. - Ale udzielię ci na koniec jeszcze jednej...

- Tak?

- Nie wykreślaj z notatnika numeru mojego telefonu.

- Nie zamierzam!

- Świetnie. W takim razie możemy zająć się jedzeniem. Co zamawiasz?

- Sałatkę z owoców morza.

- A ja stek po cygańsku z podwójnym czosnkiem.

- Jak kiedyś?

- Właśnie. A wiesz, tamta sprawa też się jeszcze nie rozstrzygnęła, wciąż pertraktuję z nieustępliwym adwokatem męża mojej klientki.

- Czosnek na niego nie działa? - spytała z figlarnym błyskiem w oku Synnamon.

Morea wzruszyła ramionami.

- Działa, tylko *jakoś* inaczej - przyznała się. - Ty wiesz, co ten facet ostatnio mi powiedział? Używa pani bardzo oryginalnych perfum...

- Dobrze! - roześmiała się Synnamon. - Może kupię to od ciebie jako nowy pomysł dla Sherwood Cosmetics!

- I sprzedasz nowej szefowej działu badawczo-rozwojowego, tak?

- Masz coś przeciwko niej? - nasrożyła się Synnamon.

Morea Landon powtórnie wzruszyła ramionami i mruknęła:

- Jeszcze nie.



Po zjedzeniu lunchu i pożegnaniu się z zabieganą jak zwykle prawniczką, Synnamon postanowiła wstąpić do biurowca Sherwood Cosmetics, zajrzeć do Annie i ewentualnie w czymś jej pomóc.

Nim jednak dotarła do jej gabinetu, wstąpiła do damskiej toalety, żeby zgodnie z przyzwyczajeniem poprawić trochę makijaż.

Natknęła się na Nicole Fox. Rudowłosa chemiczka stała przy umywalce i schłodzonymi pod kranem z zimną wodą dłońmi masowała sobie skronie.

Wyglądała nie najlepiej. Była bardzo blada i miała podkrążone oczy.

- Źle się pani czuje, Nick? - spytała ze współczuciem Synnamon.

- Nic mi nie jest, pani Welles, tylko głowa trochę mnie boli - usłyszała w odpowiedzi.

- Przemęczenie?

- Nie sędę.

- Może grypa?

- Nie.

- W takim razie pewnie migrena...

Nicole Fox najpierw zerknęła na Synnamon trochę lękliwie z ukosa, a potem ukryła pobladłą twarz w wilgotnych dłoniach i odezwała się z cicha:

- Niestety, nic z tych rzeczy, pani Welles.

- Zatem, co? - zaniepokoiła się Synnamon, podejrzewając jakąś groźną chorobę.

- Po prostu ciąża - stwierdziła posępnym tonem Nick.

## *ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY*

Z kim? - mogła, a może nawet powinna była zapytać w tym momencie Synnamon. Ponieważ jednak uznała takie pytanie za zbędne, a odpowiedź na nie za oczywistą, wykrztusiła tylko:

- Który miesiąc?

- Drugi - odpowiedziała Nick, nie odsłaniając twarzy.

- Czy to pewne?

- O ile można polegać na testach...

- Raczej można - odezwała się stłumionym głosem Synnamon, zwracając się po trosze do Nicole, a po trosze do samej siebie.

Mówiła cicho i z pozoru spokojnie, ale w głowie kłębiły jej się gwałtownie burzliwe, gorączkowe myśli, układające się w pewien konsekwentny ciąg na zasadzie dość odległych skojarzeń.

Kiedy to mogło być? Pewnie w Fargo! Termin się zgadza, więc sprawa jest raczej przesądzona...

Sprawa? Przesądzona? Zaraz, zaraz, ale jaka sprawa? No, rozwodowa, w sądzie! Wyznaczona początkowo na czternastego lutego, a potem odroczonej przez Moreę...

Morea! Trzeba do niej jak najszybciej zadzwonić, zamiast odkładać teczkę z dokumentami do archiwum, niech doprowadzi wszystko do końca.

Koniec! Tak, to już koniec. Niech sobie Conner nie wyobraża, że może działać tak bezczelnie na dwa fronty, niech wie... Właśnie.

- Czy Conner wie? - zapytała.

- Nie. Jeszcze nic nie wie - odpowiedziała Nicole. - Ja sama upewniłam się dopiero dzisiaj, a on był taki przejęty tą podróżą do Azji... Nie chciałam go dodatkowo denerwować przed wyjazdem.

- Więc powinna mu pani powiedzieć, jak tylko wróci.

- Tak, oczywiście, pani Welles...

Nicole Fox raz jeszcze opłukała drżące lekko dłonie, zakręciła kran z ciekącą przez cały czas rozmowy zimną wodą i nie korzystając ani z suszarki, ani z papierowego ręcznika, wyszła z toalety.

Synnamon została sama. Najpierw również ochłodziła sobie ręce i przyłożyła do rozpalonych, gwałtownie tętniących skroni. A potem po prostu się rozplakała. Najzwyczajniej w świecie. Po babsku! Całkiem nie tak, jak prawdziwa dama.

Świętej pamięci matka chrzestna, hrabina, na pewno nie pochwaliby takiej prostackiej reakcji. Synnamon płakała bowiem głośno, niedyskretnie, pociągając nosem, chlipiąc i zupełnie nie pamiętając o tym, że osoba z jej wykształceniem, majątkiem i pozycją powinna bez względu na sytuację „zachować twarz”.

A w myślach powtarzała sobie raz po raz jedno jedyne pytanie: Jak on mógł mi coś takiego zrobić?

Synnamon powtarzała sobie to dramatyczne pytanie wielokrotnie przez kolejne cztery dni, czekając na powrót męża z podróży do Azji. I obiecywała sobie uroczyście, że gdy tylko Conner się zjawi, zada mu to pytanie i zmusi go do udzielenia odpowiedzi.

Ja przecież muszę to wiedzieć! - powtarzała sobie w myślach. Ja przecież muszę poznać prawdę o tym obłudnym człowieku!

Conner Welles wrócił z podróży późnym popołudniem. Wszedł do domu jakby nigdy nic, otwierając sobie drzwi własnym kluczem, postawił teczkę i neseser, powiesił płaszcz na wieszaku...

Synnamon słuchała odgłosów wszystkich tych czynności zza przymkniętych drzwi salonu, tkwiąc nieruchomo w fotelu. Nie wstała na powitanie męża, nie wyszła mu naprzeciw. Czekała.

Po chwili Conner zajrzał do niej:

- To jednak jesteś? - zdziwił się. - Myślałem, że może siedzisz jeszcze w firmie.  
- Siedzę w fotelu, jak widzisz - stwierdziła oschle. - W firmie byłam przed południem i nawet pomogłam twojej Carol załatwić kilka niecierpiących zwłoki spraw.

- Wiem i jestem ci wdzięczny.

- To widziałeś się już z Carol? - spytała Synnamon, chcąc wywnioskować, czy Conner miał po powrocie szansę spotkać się z Nicole.

- Nie, zadzwoniłem tylko do niej z lotniska i przyjechałem prosto do domu, do ciebie.

Ostatnie zdanie męża wyjątkowo rozdrażniło Synnamon. Syknęła wściekła:

- W podróży do Azji nie było ci tak dobrze, jak w podróży do Fargo, prawda?

- Nie rozumiem... - stwierdził zdeorientowany Conner.

- Zrozumiesz, jak przyjdzie pora.

- A kiedy przyjdzie?

- Nieważne!

- To ja na razie wezmę prysznic...

Synnamon nie zadała mężowi pytania, które powtarzała sobie w myślach tyle razy pod jego nieobecność. Doszła bowiem nagle do wniosku, że powinien dowiedzieć się od Nicole, a nie od niej, o swoim podwójnym ojcostwie. I że powinien zdecydować sam, a nie pod presją jej pretensji czy oskarżeń, jak ma postąpić w nowej sytuacji.

Milczała więc.

Milczała tego wieczora przy kolacji. I następnego ranka przy śniadaniu. I kolejnego wieczora, kiedy to Conner, ku jej najwyższej irytacji, próbował podjąć rozmowę o kupnie domu, w którym byłoby dość miejsca dla nich dwojga, dziecka i Hartfordów.

- Daj mi już spokój z tymi Hartfordami! - wybuchnęła w końcu. - Powiedz lepiej coś o Nicole!

- To ty wiesz, że z Nicole są problemy? - zdziwił się.

- Jakie? - rzuciła.

- No... dyscyplinarne. Nie przychodzi do pracy.

- Może jest chora?

- Kierownik działu nie powinien chorować!

- A jeśli jest kobietą? Conner zerknął na żonę z ukosa.

- Więc ty myślisz, że to jakieś babskie sprawy? - zapytał.

- Skąd mogę wiedzieć! - wzruszyła ramionami.

- Skoro wiedziałaś, że z Nick są problemy...

- Nie wiedziałam!
- A wydawało mi się...
- Daj spokój!

Synnamon zerwała się od stołu, wybiegła z kuchni i wpadła do sypialni, zatrzaszczając za sobą drzwi.

Conner, z początku mocno zszokowany, uznał w końcu, że to zaburzenia hormonalne związane z ciążą wywołują u jego żony nieoczekiwane wahania nastroju i gwałtowne reakcje, i również udał się na spoczynek. A następnego ranka specjalnie się pośpieszył, żeby na wszelki wypadek wyjść z domu, zanim Synnamon wstanie i nie denerwować się niepotrzebnie przed rozpoczęciem pracy.

Synnamon wstała dość późno, gdyż nie spała prawie do świtu, zastanawiając się bezskutecznie, dlaczego Nicole Fox stosuje uniki, zamiast otwarcie powiedzieć Connerowi, co się stało.

Wstała późno, w fatalnym nastroju i na dodatek z bólem głowy. Zburczała Bogu ducha winną panią Ogden od razu przy śniadaniu, a potem, stwierdziwszy, że ma wszystkiego dość i musi się znowu położyć, zamknęła się w sypialni, aby snuć dalsze rozmyślenia, równie nieefektywne i równie wyczerpujące, jak te nocne.

Około południa usłyszała lekkie pukanie do drzwi.

- O co chodzi? - rzuciła.
- Chciałam tylko zapytać, co przygotować państwu na kolację - odezwała się trochę niepewnie gospoś, wchodząc do pokoju.
- Najlepiej zupę z arszeniku i sałatkę z cykuty! - burknęła opryskliwie Synnamon.

Jednak nim urażona pani Ogden zdążyła odejść, zreflektowała się i powiedziała:

- Przepraszam. Jestem nieznośna, prawda?
- Można przeżyć - stwierdziła dobrodusznie gospoś i machnęła ręką. - W odmiennym stanie kobieta nie ma lekko, pani Welles, rozumiem to. Ja to nawet jeszcze pamiętam, chociaż mam córkę pewnie starszą od pani.

- Przepraszam! - powtórzyła Synnamon. - I proszę zrobić na kolację, co pani wygodnie - dodała.

- Może żeberka? Pan Welles bardzo lubi...

- Mogą być. Usatysfakcjonowana pani Ogden wyszła.

Niech już „pan Welles” ma to, co lubi, pomyślała z goryczą i złością Synnamon, zanim będzie miał to, czego nie lubi ani on, ani pewnie żaden inny facet na świecie: problem z dokonaniem wyboru! Bo przecież będzie musiał wybrać pomiędzy mną a Nicole, pomiędzy tym dzieckiem a tamtym, ze świadomością, że na każdym z jego wyborów ktoś ucierpi. Więc będzie miał problem. I pewnie będzie wściekły...

Conner był wściekły, od razu po powrocie z pracy. Nawet podane na stół jego ulubione żeberka nie poprawiły mu humoru.

- Ciężki dzień? - zapytała Synnamon.

- Fatalny - przyznał. - I to przez kogo? Nigdy bym się nie spodziewał! Wyobraź sobie, że przez Nicole.

- Przez Nicole? - udała zdziwienie Synnamon. - A cóż ona takiego zrobiła?

Odpowiedź męża wprowadziła ją w zdziwienie, którego wcale nie musiała już udawać. Brzmiała bowiem:

- Nicole rzuciła pracę w Sherwood Cosmetics.

- Dlaczego? - wykrztusiła Synnamon.

- Nie mam pojęcia - stwierdził rozsierdzony Conner. - Nie pokazała się w firmie osobiście, więc nawet nie mogłem z nią pogadać. Przysłała tylko faks, z którego nic tak naprawdę nie wynika...

- Może ma jakieś osobiste powody?

- Może i ma - mruknął Conner. - Ale ci powiem, że mało mnie to interesuje!

Synnamon była tak zaskoczona wypowiedzianym przez męża zdaniem o braku z jego strony szczególnego zainteresowania osobistymi sprawami Nicole Fox, że aż do końca kolacji nie spytała już o nic.

Czy on jest aż taki gruboskórny? - zastanawiała się. Czy może aż taki cyniczny? Pytania pozostały bez odpowiedzi. Dalszego ciągu rozmowy nie było.

Skonsumowawszy porcję żeberek, Conner Welles, narzekając na ciężki dzień, wycofał się od razu do pokoju gościnnego, który służył mu za sypialnię. Natomiast roztrzęsiona Synnamon zamknęła się po kolacji w swoim pokoju i przez kilka godzin siedziała nad kartką papieru, starając się napisać coś w rodzaju listu.

W końcu z najwyższym trudem skleciła trzy zdania:

„Conner, koniecznie skontaktuj się z Nicole. Ze mną nie musisz. Tak będzie lepiej dla nas wszystkich”.

Złożoną na pół kartkę zostawiła w kuchni, pod filiżanką Connera, by znalazł list, kiedy przyjdzie na poranną kawę. I cichutko, żeby przypadkiem go nie zbudzić, wymknęła się w środku nocy z mieszkania.

Złapała taksówkę, pojechała na lotnisko. Akurat zdążyła na pierwszy poranny lot do Phoenix.

Daleko od Denver, Connera i Sherwood Cosmetics, czyli całego swego dotychczasowego życia, miała nadzieję rozpocząć wszystko od nowa. A przynajmniej - dojść do ładu z samą sobą, zrozumieć samą siebie.

I cóż?

Po wielogodzinnych rozmyślaniach w bezsenne noce i szare, deszczowe dni przełomu stycznia i lutego, spędzone w domu hrabiny w wyłącznym towarzystwie zatroskanych i zdezorientowanych Hartfordów, Synnamon istotnie rozszyfrowała niektóre przynajmniej zawilości i niekonsekwencje własnego postępowania.

A było ich niemało w ciągu ostatniego roku, począwszy od zgody na małżeństwo z Connerem Wellesem, zaaranżowane przez Silasa Sherwooda, który w młodym i zdolnym chemiku z działu badawczo-rozwojowego Sherwood Cosmetics upatrzył sobie kandydata na zięcia, współnika i następcę w firmie.

Było to typowe małżeństwo z rozsądku, by nie powiedzieć - z wyrachowania. Conner zyskiwał dzięki niemu udziały w firmie i dyrektorskie stanowisko, a Synnamon - status mężatki i niezależność od apodyktycznego ojca.

W pierwszej chwili zupełnie jej to wystarczało, zwłaszcza że młody małżonek był mężczyzną reprezentacyjnym, przystojnym i na tyle sympatycznym, by ani wspólne dni, ani noce nie sprawiały jej przykrości.

Bardzo szybko jednak zaczął ją męczyć w małżeństwie jakiś dziwny niedosyt. Ponieważ nie potrafiła bliżej go określić, patrząc ze swojej strony, zaczęła upatrywać jego przyczyn w najrozmaitszych - prawdziwych i urojonych - wadach Connera. W jego oschłości, praktycyzmie, niechęci do poddawania się emocjom, braku fantazji, prostocie upodobań...

W końcu nabrała przekonania, że Conner Welles z całą pewnością nie jest tym człowiekiem, z którym mogłaby spędzić całe życie. Zaangażowała więc zaprzyjaźnioną prawniczkę, Moreę Landon, i podjęła kroki rozwodowe.

Chciała być wolna!

Wyzwoliwszy się przez małżeństwo spod kurateli ojca, chciała uwolnić się przez rozwód...

Od czego? Od krępujących zobowiązań małżeńskich, których nie miała ochoty wypełniać. Tak przynajmniej w owym czasie sądziła, nie biorąc pod uwagę żadnych innych pobudek własnego postępowania.

I dopiero teraz, spoglądając wstecz poprzez pryzmat dramatycznych wydarzeń, jakie miały miejsce w jej życiu już po ustaleniu z Connerem finansowych warunków rozstania i po jego wyprowadzce z domu do hotelu, zaczęła się dopatrywać w swoich chaotycznych i niekonsekwentnych decyzjach czegoś jeszcze.

A mianowicie... miłości!

Miłość? - zastanawiała się. Czy to możliwe, że ja kocham Connera?

Cóż, w każdym razie niewykluczone - przyznawała po namyśle - skoro go pragnę, skoro jestem o niego zazdrosna, skoro za nim tęsknię... I skoro tak bardzo się boję, że on, ten rozsądny, powściągliwy, trzeźwo myślący, praktyczny w każdym calu technokrata, który przecież nie odwzajemnia moich uczuć, może w każdej chwili okazać mi to, co w małżeństwie jest najgorsze - obojętność!

Boję się obojętności - uświadamiała sobie, sięgając pamięcią daleko wstecz w analizie własnego życia. - Boję się odrzucenia. Zawsze się bałam. Wyniosłam ten lęk jeszcze z domu rodziców, którzy przez całe lata żyli obojętnie obok siebie w nieudanym, pozbawionym uczuć małżeństwie i u których niedostatek wzajemnej miłości fatalnie zaowocował brakiem zdolności do kochania własnego dziecka - dochodziła do nad wyraz przygnębiającego wniosku.

Dbali o mnie, to oczywiste. Z pozoru miałam wszystko, wychowywałam się w luksusie. Ale zawsze brakowało mi w rodzinnym domu tego, co najważniejsze: ciepła i serca.

Nie byłam kochana i nie nauczyłam się kochać, a w każdym razie nie nauczyłam się ani okazywać własnych, ani odczytywać czyichś uczuć, przyznawała



się z goryczą sama przed sobą. Wciąż kryję się z emocjami, zawsze, w każdej sytuacji staram się sprawiać wrażenie osoby, której nic ani nikt nie jest w stanie choćby wypro-  
wadzić z równowagi, a cóż dopiero - zranić, dotknąć...

A jednak tak bardzo boję się obojętności męża, tak bardzo boję się, że mógłby mnie zignorować, zlekceważyć, porzucić! Zawsze się bałam, już od dnia ślubu. I dlatego zażądałam rozwodu!

Chcąc uprzedzić ewentualny cios, starając się zapobiec sytuacji, w której mogłabym poczuć się upokorzona - ja pierwsza odepchnęłam Connera. Jak na ironię, prosto w ramiona Nicole Fox!

I co teraz?

Ja jestem w ciąży i ona jest w ciąży. Ale ja jestem sama, a ona jest z nim! I on nawet nie próbuje się ze mną porozumieć, skontaktować, chociaż na pewno się domyśla, gdzie przebywam!

Cóż, sama mu przecież napisałam...

Więc co ja teraz mogę zrobić, żeby to wszystko, co pogmatwałam, wyprostować?

Tylko jedna odpowiedź na to dramatyczne pytanie przychodziła Synnamon do głowy: chociaż raz w życiu postąpić konsekwentnie. Czyli - porozumieć się z Moreą Landon i doprowadzić do końca postępowanie rozwodowe. I może zacząć wszystko od nowa, kto wie...

Zadzwoiła do prawniczki dwunastego lutego.

- Zaczynamy od nowa - stwierdziła.

- A więc rozwód? - upewniła się Morea.

- Tak.

- Z podziałem majątku na nowych warunkach?

- Nie! - zaprotestowała Synnamon. - Warunki te same, byle było szybko.

- Niepotrzebnie na tym stracisz.

- Nieważne. Chcę mieć to już za sobą.

- Cóż, twoja sprawa... Skoro się śpieszysz, to ja postaram się do jutra uzgodnić wszystko z Connerem i jego prawnikiem. Gdybyś wróciła do Denver, to już pojutrze,

czternastego, moglibyście podpisać ugodę majątkową, na tym walentynkowym Balu Zakochanych, na który macie bilety.

- My mamy jakieś bilety na walentynkowy bal? - zdziwiła się Synnamon.

- Nie pamiętasz? Wysłałam ci dwa, miałas je schować na samym dnie szuflady...

- Fakt, tak było - przypomniała sobie. - Dostałam je i schowałam. I nigdzie się w walentynki nie wybieram, jeśli chcesz wiedzieć! To nie dla mnie, jakiś tam Bal Zakochanych...

- A niby dlaczego? Czy uważasz, że nie jesteś godna miłości?

Synnamon zaniemówiła. Pytanie Morei Landon, nawet jeżeli było tylko zwykłą adwokacką sztuczką retoryczną, zrobiło na niej wielkie, wręcz wstrząsające wrażenie.

Przecież powinnam była sama siebie o to zapytać, już dawno! - pomyślała. Przecież powinnam sama siebie o to zapytać właśnie teraz, w najtrudniejszym momencie mojego życia. I odpowiedzieć sobie, że jestem...

- Jesteś tam jeszcze? - odezwała się w słuchawce prawniczka, zaniepokojona przedłużającym się milczeniem po drugiej stronie linii.

- Jestem! - wykrzyknęła Synnamon. - Jestem godna miłości! Dlatego jeszcze pokażę Connerowi i wam wszystkim... tam w Denver...

- Więc przyjeżdżasz?

- Owszem.

- I spotkasz się na balu z Connerem?

- Tak - potwierdziła Synnamon. - Niech to wszystko już wreszcie się zakończy.

I niech się zacznie w moim życiu coś nowego.

- W dniu świętego Walentego?

- Chociażby.

- Cóż, grunt to dobry patron, prawda? - zażartowała Morea.

- I dobry adwokat, jak sądzę - stwierdziła z gorzkim uśmiechem Synnamon, odkładając słuchawkę.

Reprezentacyjna sala balowa w najdroższym i najelegantszym w Denver hotelu „Kendrick” była jasno oświetlona przez trzy ogromne kryształowe żyrandole i setki, a właściwie chyba nawet tysiące specjalnie zainstalowanych drobnych żarówek,

rozmieszczonych w ten sposób, by tworzyły ponad głowami tańczących coś w rodzaju roziskrzonego baldachimu. Wokół parkietu, wypolerowanego tak idealnie, że lśnił niczym lustro, porozstawiane były w kilku rzędach niewielkie dwuosobowe stoliki, nakryte różowymi obrusami. Każdy ze stolików zdobił wysmukły szklany wazon z pojedynczą czerwoną różą.

Orkiestra już grała i wiele par wirowało w tańcu, kiedy nieśmiało wsunęła się na salę Synnamon, która po przylocie z Phoenix wynajęła sobie w hotelu „Kendrick” jednoosobowy pokój i najpierw odpoczywała w nim dość długo po podróży, a potem szykowała się bez końca, chcąc pięknym, atrakcyjnym wyglądem zamaskować nękające ją rozżalenie i zdenerwowanie.

Spokojnie! - wydała sobie w myślach polecenie, czując, że serce bije jej trochę zbyt mocno, a nogi i ręce lekko drżą ze zdenerwowania. Jest przecież właśnie tak, jak sobie zaplanowała. Bal już trwa, ludzie tańczą, nikt nie zwraca na mnie uwagi... Teraz mogę rozejrzeć się spokojnie za Moreą, potem podpiszę w jej asyście wszystko, co trzeba, wymienię dokumenty z Connerem i szybko zniknę z jego życia, i z tej sali... Ukryję się w swoim pokoju. A jutro rano odlecę do Phoenix.

Synnamon, w zwiewnej różowej sukni, kolorystycznie zharmonizowanej z kreacjami innych pań, utrzymanymi konsekwentnie, wedle walentynkowego zwyczaju, w tonacji różu bądź czerwieni, przemknęła niepostrzeżenie skrajem parkietu i ukryła się za dekoracyjną, romantycznie przystrojoną różami i bluszczem altanką, a w istocie pełniącą prozaiczną rolę podręcznego składziku nakryć stołowych dla kelnerów.

Stąd, z ubocza, popatrzę sobie trochę na salę, popatrzę sobie też na szczęśliwych, rozbawionych ludzi, pomyślała z goryczą. Może zobaczę wśród nich Moreę Landon, może zobaczę wśród nich Connera i Nicole?

Dość długo stała i spoglądała smutnym wzrokiem na tańczących. Nie dostrzegła jednak na parkiecie nikogo znajomego. Za to w pewnym momencie usłyszała dobiegający z tyłu znajomy męski głos:

- Wszystkiego najlepszego z okazji pierwszej rocznicy ślubu!

Odwracając się gwałtownie na śliskiej, wywoskowanej podłodze, straciła równowagę. Na szczęście Conner był tak blisko, że zdołał przytrzymać ją za ramiona. Nie przewróciła się więc, dzięki męskiemu wsparciu utrzymała się na nogach.

Szybko cofnęła się o krok.

Z dystansu spostrzegła, że Conner, w czarnym smokingu i śnieżnobiałej koszuli prezentuje się bardzo elegancko, niemniej jednak sprawia wrażenie człowieka zmęczonego, zatroskanego, a nawet przygnębionego. Błada twarz, podkrążone oczy... I smutny, lekko zdławiony głos, którym odezwał się po chwili:

- Już myślałem, że jednak się nie zjawisz...

- Musiałam odpocząć po podróży, dlatego się spóźniłam - wyjaśniła Synnamon.

- Oszczędziłaś mi lotu do Phoenix.

- Przede wszystkim oszczędziłam sobie - podkreśliła Synnamon - twoich odwiedzin w tamtym domu. Wolę porozmawiać o rozwodzie tu, na neutralnym gruncie.

- Naprawdę chcesz rozmawiać o rozwodzie na Balu Zakochanych?

- A czemu nie? Nikt tu nie zwraca na nas uwagi, nikt się nie zorientuje, o czym mówimy. Wszyscy tańczą albo przyglądają się tańczącym, orkiestra gra dosyć głośno...

- Dobrze więc - zgodził się Conner. - Porozmawiajmy. Czemu uciekłaś?

Pytanie kompletnie zaskoczyło Synnamon. Nie sądziła, że to ona będzie się musiała z czegokolwiek tłumaczyć w tej rozmowie. Dlatego w pierwszym odruchu rozłożyła bezradnie ręce i dopiero po chwili odezwała się:

- Potrzebowałam czasu i spokoju, żeby przemyśleć, kilka spraw.

- Tak też przypuszczałem - stwierdził Conner. - Dlatego nie wsiadłem w następny samolot i nie poleciałem za tobą do Phoenix, i nie nękałem cię telefonami. Czekałem, aż sama się odezwiesz, zadzwonisz... Tymczasem zadzwoniła Morea.

- Z mojego upoważnienia.

- Domyślam się - mruknął Conner. - Ale nigdy bym się nie domyślił, muszę ci powiedzieć, że jednak będziesz się upierać przy rozwodzie. Tamte dni, przed twoim wyjazdem do Phoenix... a właściwie te wcześniejsze, przed moim wyjazdem do Azji... były przecież zupełnie sympatyczne.

- Tylko że potem wyniknęła sprawa z Nicole - zauważyła cierpko Synnamon.  
- Do licha! A cóż ty znowu z tą Nicole! - zdenerwował się Conner. - Najpierw piszesz mi coś o niej w liście, teraz znowu wracasz do tego bezsensownego tematu...  
- Przecież Nicole jest w ciąży! - wykrzyknęła zbulwersowana Synnamon.  
- Przecież wiem!  
- No i co?  
- No i nic - stwierdził Conner, wruszając obojętnie ramionami. - Muszę szukać innego kandydata na kierownika działu badawczo-rozwojowego Sherwood Cosmetics.  
- A Nicole?  
- Nicole wróciła do poprzedniej firmy, gdzie mniej jej płacą, ale też znacznie mniej od niej wymagają. Twierdzi, że nie może pracować na zbyt wysokich obrotach i na zbyt odpowiedzialnym stanowisku, bo w tej chwili musi się ze zrozumiiałych względów oszczędzać, a w przyszłości będzie jej potrzebny wolny czas, który poświęci swojemu dziecku.

Orkiestra skończyła grać rytmiczne, głośne mambo, dla odmiany zabrzmiała nastrojowa ballada. Na balowej sali zrobiło się na tyle cicho, że Synnamon zaczęła się z obawą zastanawiać, czy Conner nie słyszy przypadkiem głośnego stukotu jej rozdygotanego z emocji serca.

- Również... twojemu dziecku... - wykrztusiła.  
- Zwariowałaś! Kto ci to powiedział?  
- Właściwie to... - Synnamon zawahała się. - Nikt! - odpowiedziała po kilkunastosekundowym namyśle. - Ja sama pomyślałam...  
- Jak mogło ci coś takiego w ogóle przyjść do głowy? - zdumiał się Conner. - Przecież Nicole Fox ma na stałe jakiegoś tam amanta, a ja jestem dla niej tylko kolegą po fachu, nikim więcej.  
- Ale przecież byliście razem w Fargo...  
- I pracowaliśmy tam w laboratorium chemicznym, więc mógłbym jej zrobić dziecko najwyżej w próbówce. Ale nie zrobiłem! I dziecko mogę mieć tylko z tobą, bo tylko ciebie kocham...

Synnamon poczuła tak gwałtowny zawrót głowy, że aż zachwiała się na nogach. Na szczęście Conner był wystarczająco blisko, by po raz drugi tego dnia ją podtrzymać i ochronić przed utratą równowagi.

- Boże! - jęknęła. - Jaka ja byłam głupia!

- Może czas zmądrzeć, pani Welles? - spokojnym, ciepłym głosem zapytał Conner, przytulając ją do siebie. - I wreszcie dać sobie spokój z tą bezsensowną gadaniną o rozwodzie?

- Może - szepnęła Synnamon. - Skoro mnie kochasz...

- A ty mnie?

- Ja ciebie też! Przecież nie poszłabym z tobą do łóżka w najsmutniejszym momencie mojego życia, jeśli byłbyś mi obojętny, prawda?

- Nie wiem. Nigdy mi przecież nie mówiłaś...

- Bo sama o tym nie wiedziałam do tej pory! Dopiero kiedy od ciebie uciekłam do Phoenix, pomyślałam, że pewnie ułożysz sobie życie z Nicole Fox... i dopiero wtedy uświadomiłam sobie tę miłość. Wcześniej sądziłam, że pobraliśmy się tylko z rozsądku. I dlatego, że mój ojciec tak chciał!

- Twój ojciec, wielki Silas Sherwood... - westchnął Conner. - On tak usilnie starał się nas ze sobą związać, że koniec końców o mało co nas nie rozdzielił, i to już po swojej śmierci.

- Chciał zapewnić swojemu kosmetycznemu imperium dziedzica, oczywiście płci męskiej - stwierdziła Synnamon. - A ponieważ nie miał upragnionego syna, postanowił wydać za wybranego przez siebie człowieka córkę. Ukartował nasze małżeństwo, ustalił za nas wszystko, w najdrobniejszych szczegółach: gdzie będziemy pracować, gdzie będziemy mieszkać... Potraktował nas jak pionki na szachownicy, którymi, gdyby żył, mógłby do tej pory rozgrywać jakąś własną grę. Wszystko dokładnie zaplanował, wszystko przewidział! Poza tym, że zdecydujemy się od siebie uciec, biorąc kulturalny rozwód...

- I jeszcze poza tym, że zanim zdążymy się rozwieść, zdążymy się w sobie zakochać! - dodał Conner.

- I że sobie tę miłość wyznamy dokładnie w Dniu Zakochanych, na walentynkowym balu!

- I że żadnego rozwodu nie będzie, prawda?
- Oczywiście, że nie, chociaż Morea może się na mnie o to nieźle wściekać -  
odpowiedziała ze śmiechem Synnamon.



RS